№ 30 Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 13 (25) Lipca 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Rogata dusza, powieść Juliana Łętowskiego (dalszy ciąg). — Z dziedziny nauki i wynalazków (dokończenie). — Korespondencya z Paryża (literacka), przez Sewerynę Duchińską. — Strzał, nowela. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. **W dodatku:** Wprowadzona w wielki świat, powieść przez Hamiltona Aide, przekład K. P. (arkusz 15).

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Naraz też, przycisnąwszy mocniej chusteczkę do oczu, odjęła ją śpiesznie, jakby chciała przekonać się, że to wszystko nie sen, nie złuda, że on jest przy niej istotnie.

— Boże, Boże! — wybiegło z jej ścieśnionej piersi.

On znów teraz nachylił się ku niej, poszukał jej ręki i, tonąc oczyma swemi w zroszonych jeszcze łzami jej źrenicach, począł nanowo przerwane wyznanie, jakby zależało mu na tem, aby nie dopuścił jej jeszcze do słowa i mógł wypowiedzieć wszystko, co pragnął.

— Więc tak! Kocham cię!—wołał, całując z szacunkiem końce jej paluszków. — Musisz nareszcie tego wysłuchać, moja złota, droga, jedyna! Musisz pozwolić mi mówić, bo czuję, że gdybym taił to dłużej, nie miałbym chwili spokoju. A nie myśl, że przychodzi to nagle, że powoduje mną cośkolwiek prócz tego, iż dłużej już sam milczeć nie chcę i nie mogę. Prawda, że ów spadek, który rozwiązał mi ręce, czyniąc mię choć na jakiś czas niezależnym, przyśpieszył to moje wyznanie. Teraz dopiero bowiem mogę coś dla ciebie poświęcić, mogę jakąś ulgę twej doli zapewnić. To wszystko prawda i próżnobym się tego zapierał! Ale mówiłem ci już, jak oddawna cię kocham, i wierz mi, nic nie dodaję, nie kłamię! Głupstwem też wydaje mi się wszystko, co mówią zwykle o wolnej woli człowieka. Nas bowiem los, przypadek połączył już oddawna i przeznaczył wzajemnie dla siebie. Ach, i ja dziś błogosławię to przeznaczenie!

Odetchnął na chwilę, wyczerpany, znużony, ale jakby czuł, że nie wypowiedział jeszcze wszystkiego, począł znów zaraz:

— Więcej ci nawet powiem, moja złota! Oto były chwile, żem odpędzał te myśli o tobie, był czas, że następowały w nich jakieś głuche przerwy. I wtedy sam nie wiedziałem, co mi jest, ale było mi źle. Pamiętam, że gdyśmy zostali sierotami i rozbiegli się po świecie, opuszczając ten dom, który był niemal wspólną naszą kolebką, myśl o tobie coraz rzadziej się wtedy zjawiała. Nie widziałem cię wówczas całe trzy lata! Ale czy wiesz? był to tylko rodzaj wytchnienia, spoczynku, jakiegoś snu letargicznego tej mojej miłości, bo gdym znów, dzięki nawiązanym nanowo stosunkom z Wiktorem, spotkał się z tobą—pamiętasz?—uczułem, że miłość ta zbudziła się znowu w mem sercu. Odtąd próżną już była wszelka z nią walka. Oddawna sam uznałem się zwyciężonym, tylkom tego powiedzieć ci nie mógł i nie chciał...

Drżąc ciągle, słuchała tych jego słów, niby jakiejś niebiańskiej muzyki, oczarowana, zamagnetyzowana niemal jego wzrokiem. Od czasu do czasu łza radości zjawiała się jeszcze na jej rzęsach i znów cofała się czemprędzej. Czuła też dobrze, że nareszcie należy jej z czemś się odezwać, obawiała się jednak, że zamiast słów, wyrwie się z jej piersi tylko krzyk jakiś nieludzki, krzyk szczęścia. Poddawała się więc bezsilna upojeniu, jakie ją ogarniało, i tylko uściskiem ręki odpowiadała cochwilę na każde jego goretsze słowo.

On widział zachwyt, radość i szczęście, malujące się na twarzy biednego dziewczęcia, i to mu wystarczało. Taką nawet chciał ją widzieć w podobnej chwili, oniemiałą, bezsilną, a przecież nad wyraz szczęśliwą i umiejącą to szczęście samemi oczyma wyrazić.

— Nie mówiłem ci dotąd, że kocham — ciągnął dalej, korzystając z jej milczenia, — prawda, nie mówiłem; ale czyżbyś ty istotnie mogła była tego nie dostrzedz? Wy przecie jesteście takie domyślne! Ach, to nawet i dla Wiktora, gdy się dowie, nie będzie żadną nowiną, choć, wierz mi, nigdyśmy z sobą o tem nie mówili. Jakbym go już widział! Machnie ręką, najeży się swoim zwyczajem i powie chmurno, jakby się oburzał: „Wiem przecie!"

A przy tych ostatnich słowach tak wybornie pochwycił minę i głos Wiktora, że Józia uśmiechnęła się mimowolnie.

— Tak, tak będzie! — mówił dalej, przytuliwszy znów usta swe do jej ręki i odzyskując odrazu zwykłą swobodę. — To też, choćbyś mi teraz naprzekór powiedziała, żeś nie domyślała się dotąd niczego, choćbyś najświętszą minkę zrobiła, a potrafisz to, o, potrafisz! choćbyś przysięgała nawet, żeś nic temu nie winna, nie uwierzę, jak mi Bóg miły, nie uwierzę! Zabrałaś mi serce i wiesz o tem dobrze,

i... i choć trochę mię lubisz! Inaczej oczy twoje kłamały, dobroć twoja kłamała, radość kłamała, inaczej, ach, musiałbym sobie powiedzieć, żem był ślepy, a przecie ja mam oczy, mam, prawda?

I wpadając dalej w ten swobodny, żartobliwy ton, dodał czemprędzej:

— No, powiedz, że mnie tu nie lubią, nie znoszą, nie chcą widzieć więcej na oczy? Powiedz! Przedewszystkiem jednak pozwól, że wstanę. Nigdym, bodaj w kościele nawet, tak długo nie klęczał!

Wstając jednak sam, ujął ją za obie rączki i jednym zręcznym ruchem wyciągnął z ulubionego kącika.

Szczery, radosny uśmiech okrasił jej usta.

Była mu wdzięczną za ten zwrot ku swobodzie, który czynił zeń znów dawnego, dobrego znajomego, a i jej nareszcie pozwalał być zwykłą Józią. Powaga poprzedniej chwili, mimo całej rozkoszy, jaką z sobą przyniosła, przygniatała ją czegoś. Teraz dopiero, doznawszy jakiejś ulgi, czuła, że i jej usta nareszcie się rozwiązały.

Wyciągnięta na środek pokoiku, załamała rączki, szepcąc, jakby do siebie:

— Boże! Czem ja sobie zasłużyłam na to szczęście? Czem? czem?

Konrad, widząc ją taką bezsilną, słaniającą się niemal, a śliczną w tem swojem zakłopotaniu, uczuł nieprzepartą pokusę pochwycenia jej w ramiona i przytulenia do swojej piersi.

Powstrzymał się jednak i ujął tylko jej splecione rączki.

— Tem — począł w tym samym, zwykłym swoim żartobliwym tonie, który ona tak u niego lubiła, — tem, że byłam zawsze śliczną, dobrą, cacaną panienką! A cichą, a łagodną, a pracowitą, a siostrą dla brata taką, że podobnej i ze świecą nie znajdzie na Bożym świecie! Tem, i niczem więcej!

Czując zaś, że mimowoli wpada znów w jakąś rzewność, dodał:

— No, ale czas ucieka, a ja nie mogę się doczekać odpowiedzi na zadane poprzednio pytanie...

Józia wysunęła rączkę z jego dłoni i poczęła mrugać oczyma, jakby istotnie chciała sobie coś przypomnieć.

— Pytanie? Jakie? — szepnęła najnaiwniej.

— Powiedziałem przecie: „kocham" i chciałbym teraz echo tego wyrazu usłyszeć...

— Panie Konradzie!

— Masz tobie! — zawołał wesoło. — Ależ to najfałszywsze echo! Ten pokoik, jak widzę, nie jest wcale akustyczny!

Uśmiechnęła się mimowolnie, chociaż łzy znów zaświeciły w jej oczach.

Spojrzała przez nie, ale nie mogąc nic dojrzeć, pochwyciła tylko instynktownie dłoń jego i uścisnęła ją mocniej.

— Niech panu te łzy moje odpowiedzą! — szepnęła.

Teraz już Konrad nie był panem siebie. Przyciągnął ją ku sobie i przytulił główkę jej do swoich piersi.

Nie broniła się. Była bezwładna, bezsilna.

Milczeli oboje przez chwilę.

— Łzy to najgorszą odpowiedź — przemówił wreszcie Konrad, korzystając, pomimo wszystkiego, z okazyi i nadsłuchując z uwagą ciężkiego oddechu dziewczęcia. — Ale na dziś muszą mi wystarczyć. Protestuję tylko przeciwko temu „pan." Cóż znowu! Trzeba sobie dawne czasy przypomnieć, te czasy, gdy to się za mną i za Wiktorem biegało z prośbą o przyklejenie głowy lalce... „Wiktol, Konlad..." Pamiętasz?

Uśmiechnęła się do tych wspomnień, kryjąc znowu rozpromienioną twarz na jego piersi.

Teraz, przy tem nowem zbliżeniu, jeszcze wyraźniej doszło jego uszu odzywające się w jej piersiach rzężenie, które widocznie starała się przed nim utaić. Nie udało się to jednak biedaczce i naraz ostry kaszel, tem gwałtowniejszy, że powstrzymywany, począł wstrząsać jej piersią.

— Widzisz! Znowu ten kaszel! — szepnął smutno Konrad.

— To nic! — odparła śpiesznie. — Umęczyłam się trochę, bo tyle dziś miałam do roboty. Ale teraz już nie będę chorowała! Teraz muszę być zdrowa... Zobaczy pan!... zobaczysz! — dodała, poprawiając się zaraz.

— Tak! Musisz być zdrowa! — odparł Konrad, myśląc o projektach, z któremi biegł tu dzisiaj. — Ale, widzisz, trzeba się szanować, oszczędzać. Właśnie z tem tu przyszedłem... Siądź, słuchaj!

I chciał podprowadzić ją ku dawnemu miejscu, ale uczuł jej opór. Nie chciała odczepić się od jego piersi.

— Kiedy mnie tak dobrze przy tobie! — mówiła, zaplatając już śmielej ręce na jego ramionach.

— Ale stoisz, a to cię nuży! Siądź!

Poskoczył i zsunął dwa krzesła tak, aby stolik nie przeszkadzał już im usiąść blizko siebie. Nie było tu takiej przytulnej kozetki, jaką widział tam, w salonie pani Trzcińskiej, przed wieczorem. I tu jednak było im dobrze.

— Tak! — rzekł, zadowolony ze swego dzieła.— Możemy być przy sobie, a nie będziesz się przynajmniej męczyła.

— Jaki pan... jakiś ty dobry! — szepnęła uradowana.

Wzruszenie jednak szkodziło jej zawsze, znowu więc zachłysnęła się kaszlem.

Pochwycił jej rozpalone rączki i przeczekawszy nowy atak kaszlu, począł:

— Nie możesz na zimę tu zostać. Musisz wyjechać.

— Ja? Gdzie?

— Daleko! Na południe! Obmyśliłem już to wszystko! Tam odzyskasz zdrowie prędzej, odzyskasz z pewnością.

— Jechać? sama?

— Ze mną!

— Bez Wiktora?

Uśmiechnął się, oczarowany tem jej zakłopotaniem.

— Pojedziesz przecie już jako moja żona! — szepnął.

Ostatnie to słowo spadło na biedną dziewczynę jak grom i ogłuszyło ją narazie. Krzyk jakiś radosny, a ledwie dosłyszalny, zamarł na jej wpół otwartych usteczkach.

Przycisnęła skronie obiema dłońmi, jakby w obawie, że pulsa mogą je rozsadzić, spojrzała ukochanemu w oczy, pragnąc w nich wyczytać potwierdzenie tego uroczego słowa, i w mgnieniu oka, zanim się spostrzegł, pochwyciła jego rękę i przycisnęła do niej swe rozognione wargi.

— Okrutna! — zawołał Konrad, nie mogąc już zapobiedz temu, co się stało.

Czuł, że teraz już nie zdoła dłużej panować nad sobą. Chwilkę tylko jeszcze, chwilkę tak małą, jak mgnienie błyskawicy, walczył z ogarniającą go myślą i naraz, przyciągnąwszy główkę ukochanej ku swojej twarzy, spoił wargi swe z jej wargami w szalonym, gorącym pocałunku.

Nigdy nie mógł sobie później przypomnieć, jak długo to trwać mogło.

Bielmo jakieś zasłoniło mu oczy. Nie widział już teraz nic przed sobą, czuł tylko, iż dziewczyna broni mu tych warg swoich, zażenowana, blizka omdlenia; usłyszał też znowu: „Panie Konradzie," potem tylko „Konradzie," wreszcie jakieś stłumione westchnienie, i wargi owe, od których nie miał siły ust swych oderwać, poczęły stygnąć i sztywnieć. Nakoniec główka dziewczęcia pochyliła się wtył na poręcz krzesła, śliczne oczy zgasły, przysłonięte powiekami, a rączki opadły bezwładnie po bokach.

To go dopiero opamiętało.

Zerwał się z krzesła, ukląkł przed omdlałą i począł cucić ją, szarpiąc za ręce, to znów chwytając ją wpół i przytulając do swojej piersi.

— Widzisz, okrutna! — wołał. — Widzisz! Samaś mnie wyzwała! Samaś temu winna! Boże! Boże! Zbudź się! Przyjdź do siebie, droga, złota, jedyna!

Przebiegło mu już przez myśl zawołać o pomoc, gdy omdlała otworzyła znów oczy, patrząc w twarz jego zawstydzona, ale już z jakimś błogim, zwolna na wargach zjawiającym się uśmiechem.

Bał się teraz przemówić cokolwiek, nie śmiał dotknąć jej ręki i tonął tylko oczyma swemi w jej źrenicach.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z DZIEDZINY NAUKI I WYNALAZKÓW.

Podróże powietrzne pająków. — Pioruny kuliste. — Jaki ton przysyła do naszego ucha świstawka zbliżającego się lub oddalającego się pociągu i co znaczą barwy gwiazd? — Oczyszczanie wody w Antwerpii.

(Dokończenie.)

Wspaniałe zjawisko przyrody, zwane *piorunem*, jest, jak wiadomo, wielką iskrą elektryczną i jak ona, objawia się naszym zmysłom w postaci dwóch składników: błysku (światła), który w tym razie zowie się błyskawicą i trzasku (głosu), który nazywa się grzmotem. Błyskawica przedstawia się naszym oczom albo jako linia łamana, zygzakowata, jaskrawa, częstokroć wiele mil długa, albo częściej jako powierzchnia szerszych wymiarów, niby obłoczek oświetlony światłem rozproszonem.

Oprócz tych dwóch rodzajów błyskawic, czyli piorunów (bo każda błyskawica, czy to wypadająca pomiędzy dwiema chmurami, czy pomiędzy chmurą a jakim przedmiotem, znajdującym się na powierzchni ziemi, jest piorunem), istnieje jeszcze trzeci, daleko rzadszy i największej liczbie ludzi wcale nieznany, który się zowie *piorunem kulistym*. Ukazuje się on najczęściej podczas burzy, w postaci kuli ognistej, poruszającej się w powietrzu z tak małą prędkością, że często można ją śledzić okiem przez znaczną liczbę sekund, poczem znika albo bez żadnego hałasu, albo z wybuchem, który można przyrównać do wystrzału z działa. Skutki uderzenia takiej kuli o przedmiot, napotkany na drodze, są zupełnie takie same jak zwyczajnego pioruna, ale sposób jej powstawania jest dotąd zupełną ta-

jemnicą, choć nie ulega wątpliwości, że jest to także zjawisko natury elektrycznej.

Do najlepiej obserwowanych zjawisk tego rodzaju należy opisane w VI tomie Memoarów towarzystwa przyrodniczego w Strasburgu. W dniu 13 Lipca 1869 roku przeciągała nad miastem pod wieczór burza bez deszczu. O 7 godzinie uderzył zwyczajny piorun z niezmiernym trzaskiem w topolę, stojącą na wysepce Renu, obok mostu prowadzącego do Kiehl, i zaraz potem wybiegła od strony topoli kula ognista wielkości kuli działowej. Kula ta, poruszając się w kierunku prawie poziomym, wciągu półczwartej sekundy dosięgła kasztana, oddalonego od topoli o 840 metrów, i znikła przy nim z silnym wybuchem, na co patrzyło wielu wiarogodnych świadków. Część jej uderzyła w kasztan i po jego pniu zbiegła do ziemi, druga część trafiła trzech żołnierzy francuzkich, którzy siedzieli na ławce, stojącej pod drzewem, i dwóch z nich zabiła na miejscu, a trzeciego mocno okaleczyła.

W ubiegłym roku 1890, który odznaczył się bardzo licznemi i silnemi burzami w rozmaitych okolicach Europy, obserwowano i opisano znaczną liczbę piorunów kulistych. Przytoczymy parę ciekawych opisów.

Jeden wypadek, który miał miejsce w Hiszpanii 2 Stycznia, w fabryce przyrządów elektrycznych w Pontevedra, został opisany przez dyrektora tej fabryki i zarazem profesora fizyki, p. Cabellero.

O 9 ¼ wieczorem, przy zupełnie czystem niebie i spokojnem powietrzu, wbiegła nagle do fabryki kula ognista, wielkości pomarańczy. Przed wejściem musiała ona zapewne biegnąć po jednym z drutów, rozprowadzających po mieście światło elektryczne, a do fabryki wpadła przez okno. Od okna skierowała się ku tablicy służącej do rozdziału strumienia elektrycznego, a od niej ku machinie dynamo-elektrycznej. Podwakroć wobec przerażonych inżynierów i robotników kula przerzucała się od tablicy do machiny i napowrót do tablicy, aż nareszcie, spadając na ziemię, rozbiła się na liczne odłamy, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, prócz stopienia w kilku punktach grubych blaszek miedzianych na tablicy. Zniknięciu jej towarzyszył huk, dający się porównać z wystrzałem armatnim.

Sierpień 1890 roku zapisał się w pamięci Francyi strasznemi huraganami, które w kilku jej departamentach poczyniły wielomilionowe spustoszenia. Podczas tych huraganów wydarzyły się liczne wypadki piorunów kulistych. Niektóre z nich, towarzyszące huraganowi, który szalał w mieście Saint-Claude i okolicy (w departamencie Wogezów) opisał profesor fizyki miejscowego kolegium, Cadenat. Oto szczegóły przez niego podane:

Wieśniak z Viry, powracający do domu podczas wybuchu burzy, widział szybko spadającą kulę ognistą, która uderzyła o ziemię, rozerwała się na kawałki i obsypała go piaskiem. Gdzieindziej widziano kule ognisto-czerwone, wielkości głowy ludzkiej, które, posuwając się zwolna, zapaliły siano i znikły.

W samem Saint-Claude wiele osób widziało także kule wielkości kul bilardowych, unoszone szybko w kierunku trąby powietrznej; niektóre z nich wpadały do mieszkań przez kominy i wolno przebiegały pokoje, zostawiając za sobą ślad świecący w postaci lekko zakrzywionej smugi spiralnej; jedna upadła na sztabę żelazną, przyniesioną przez wiatr i przypartą do muru, odskoczyła do ziemi i przesunęła się o kilka metrów po jej powierzchni; potem, zmieniając nagle kierunek, wpadła w korytarz, przebiegła pomiędzy ścianą i drzwiami, zniszczyła zamek, zdarła okucie drzwi, wyrwała w nich wielką dziurę, przełupała je wzdłuż odgóry dodołu i wreszcie wymknęła się na ulicę.

Powyższe przykłady wystarczą, aby zrobić sobie pojęcie o zjawisku, dotąd niewytłumaczonem, choć wcale nie tak rzadkiem, jak dawniej mniemano.

* * *

Ilekroć jakie ciało sprężyste, jak na przykład struna, blaszka metalowa, naciągnięta błona, słupek powietrza i t. d. odbywa drgania, które dość szybko następują po sobie i wywołują takie same drgania w otaczającem powietrzu, dochodzące ostatecznie do naszego ucha, tyle razy odczuwamy wrażenie, które się zowie *głosem* albo *dźwiękiem*. Jeżeli przytem te drgania wchodzą do ucha w zupełnie różnych i bardzo krótkich odstępach czasu (najmniej 33 drgania w 1 sekundzie), wtedy sprawione przez nie przeciągłe i jednostajne wrażenie zowiemy tonem muzycznym, albo krócej *tonem*. Jedną z cech tonu jest jego wysokość (inaczej ostrość lub grubość); im ucho odbiera więcej drgań wciągu sekundy, tem słyszany ton jest wyższy, im mniej, tem niższy. Tony używane w muzyce leżą w granicach między 33 i 6960 drgań w jednej sekundzie.

Świstawka pociągu drogi żelaznej wydaje ton, odpowiadający pewnej oznaczonej ilości drgań. Jeżeli pociąg stoi w miejscu, w pewnej od nas odległości, wtedy bez względu czy ta odległość jest większą albo mniejszą, ucho odbiera zawsze wciągu każdej sekundy tyle drgań, ile ich w tymże czasie robi świstawka, a zatem słyszy ton jej właściwy.

Ponieważ drgania rozchodzą się w powietrzu z pewną stałą szybkością, wynoszącą 332 metry na sekundę, czyli ponieważ, jak zwykle mówimy, głos ubiega 332 metry w sekundzie, zatem każde drganie przychodzi od świstawki do ucha z pewnem opóźnieniem, tem większem, im ucho dalej się od niej znajduje; ale dopóki ta odległość jest niezmienną, dopóty liczba drgań wpadających w ucho, wciągu sekundy, będzie oczywiście także niezmienną i taką samą, jak liczba drgań świstawki, i dlatego ucho słyszy zawsze ten sam ton, który wydaje świstawka. Lecz gdy pociąg znajduje się w biegu i odległość świstawki od ucha ciągle się zmienia, wtedy i samo zjawisko zmienić się musi; obaczmyż, jak to się dzieje.

Przypuśćmy, że gwiżdżący pociąg kuryerski zbliża się ku nam o 50 metrów cosekunda (co jest możliwe, jeżeli my sami pędzimy naprzeciwko niego innym kuryerem), wtedy, przy coraz zmniejszającej się odległości, każde następne drganie świstawki przyjdzie do nas prędzej niż poprzednie, a zatem wszystkie drgania zrobione przez świstawkę wciągu jednej sekundy wpadną w nasze ucho nie wciągu sekundy, ale w czasie o tyle od niej krótszym, ile go potrzebuje głos na przebycie odległości 50 metrów, a zatem w czasie krótszym prawie o $^1/_6$ sekundy, czyli wciągu $^5/_6$ sekundy. Ztąd znowu wynika, że wciągu całej sekundy ucho odbierze $^6/_5$ czyli $1^1/_5$ razy więcej drgań, niż ich zrobiła w sekundzie świstawka, a zatem usłyszy ton *wyższy* od tonu jej właściwego (w naszym przykładzie wyższy o jedną tercyą mniejszą).

Jeżeli przeciwnie, pociąg ze świstawką oddala się od nas ze stałą szybkością, na przykład także o 50 metrów cosekunda, to wtedy każde następne drganie jego świstawki będzie dochodziło naszego ucha z większem opóźnieniem, niż poprzednie; zatem odbierzemy wciągu sekundy mniej drgań niż ich w sekundzie robi świstawka i będziemy słyszeli ton *niższy* od tego, który ona wydaje.

Światło, podobnie jak głos, jest także ruchem drganiowym; tylko drgania ciał świecących są nierównie częstsze, bo się liczą na setki miliardów wciągu jednej sekundy, a rozchodzą się nie w powietrzu, ale w tak zwanym eterze, z prędkością przeszło 40,000 mil geograficznych w sekundzie. Barwy odpowiadają tonom. Najniższa barwa czerwona powstaje, gdy do oka wpada wciągu sekundy 497 miliardów drgań; po niej idą zkolei pomarańczowa, żółta, zielona, błękitna, niebieska i wkońcu najwyższa fioletowa, odpowiadająca 728 miliardom drgań w ciągu sekundy. Z mieszaniny wszystkich barw powstaje światło białe.

Jak ton świstawki podwyższa się dla ucha przy szybkiem jej zbliżaniu się, a obniża przy jej oddalaniu się od ucha, tak i barwa ciała świecącego powinna przez analogią zniżać się, to jest przechodzić z białej w żółtą lub czerwoną, albo podwyższać się, to jest przybierać odcień niebieski lub fioletowy, wmiarę jak to ciało szybko się oddala od oka, albo do niego się zbliża.

Na ziemi niema ciał świecących, któreby biegły z taką prędkością, jaka w porównaniu z prędkością światła miałaby jakiekolwiek znaczenie, ale znajdujemy takie ciała w przestworach świata, poza granicami naszego układu słonecznego. Są to gwiazdy, pomiędzy któremi prócz białych znajdujemy także czerwone, żółte i niebieskie. Otóż bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że białe gwiazdy zachowują względem nas odległość mniejwięcej niezmienną, że niebieskie szybko się ku nam zbliżają, a czerwone i żółte z niezmierną prędkością oddalają się od nas.

* * *

W ostatnich czasach rozmaite miasta starają się usilnie o zaopatrzenie swoich mieszkańców w zdrową wodę do picia i do zaspakajania innych potrzeb domowych. W Paryżu myślą obecnie o sprowadzaniu wody z pięciu źródeł położonych w Normandyi, które zapomocą wodociągu, mającego mieć prawie 100 wiorst długości, będą mogły dostarczać stolicy po 100 tysięcy metrów sześciennych wody na dobę. Ma to kosztować 35 milionów franków i dlatego nie każde miasto może sobie pozwolić na sprowadzanie zdaleka wody źródlanej. Z konieczności potrzeba często poprzestać na najbliższej rzece, przyczem oczywiście potrzeba czerpać wodę wgórze rzeki, nim jeszcze wpłynie w obszar miasta, i prócz tego należycie oczyszczać. Taką wodę i to wcale w dobrym gatunku mamy obecnie w Warszawie i w taką, tylko zupełnie inaczej niż u nas filtrowaną, inżynier francuzki Lefort pragnie zaopatrzyć Nantes.

Antwerpia pod względem wody do picia znajdowała się w opłakanem położeniu, bo niema tam nigdzie w pobliżu ani odpowiednich źródeł, ani nawet rzeki z wodą możliwą do picia, pomimo, że leży ona nad olbrzymią Skaldą; woda zaś w studniach miejskich jest bardzo zanieczyszczona. Rozwiązanie zatem kwestyi wody przedstawiało tu wielkie trudności, które jednak w oryginalny sposób zostały przezwyciężone przez Andersona.

Woda czerpie się z rzeczki Nety, w miejscowości Waelhem, oddalonej o 18 kilometrów od miasta. Neta przepływa przez torfowiska, a nadto przy każdym przypływie morza przyjmuje w siebie, w skutek odwróconego prądu, wodę rzeczki Seuny,

a z nią wszystkie brudy i nieczystości Brukselli. Jest ona żółtawa, cuchnąca i zawiera w zawieszeniu takie mnóstwo rozmaitego rodzaju kłaczków i mętów, że już w warstwie grubej na 60 centymetrów (trochę więcej niż łokieć) jest zupełnie nieprzezroczysta.

Szkaradna ta woda wpuszcza się naprzód do wielkich walców blaszanych, zwanych rewolwerami, obracających się naokoło osi poziomej i zawierających w sobie pewną ilość żelaza, w postaci wiórów lub drobnych kawałków innego kształtu. W walcach tych woda zostaje od 3 do 5 minut, poczem wypuszcza się do skrzyń żelaznych; jest ona wtedy mocno nasycona związkami żelaza, bardzo mętna, ma kolor rdzawy i wyziewa jeszcze wyraźną woń błotną. W tym stanie poddaje się nasyceniu powietrzem, co się dokonywa wczęści, przepędzając powietrze przez umieszczone we wnętrzu skrzyni rury, opatrzone dziurkami, a wczęści przez spuszczanie wody ze skrzyń do osobnych zbiorników w postaci kaskady, po schodach wyłożonych koksem.

We wspomnionych zbiornikach, mających na dnie pokład grubego piasku, odbywa się klarowanie i filtrowanie. Oprócz działania mechanicznego, zależącego od siły ciężkości, zachodzą tu pod wpływem żelaza i tlenu z atmosfery niewyjaśnione dokładnie odczyny chemiczne, skutkiem których materye organiczne zostają w większej części zniszczone, a związki żelaza osiadają na pokładzie piasku, w tak zwanej postaci kolloidalnej (to jest niekrystalicznej, podobnej do zastygłej żywicy) i tworzą rodzaj nierozpuszczalnej błony, która, ścinając się, zabiera w siebie zawieszone w wodzie kłaczki organiczne i żyjące w niej drobnoustroje (bakterye). Zachodzi tu coś podobnego do tego, co się dzieje przy klarowaniu mętnego wina zapomocą białka. Ta błona, osiadająca na piasku, stanowi następnie sama warstwę, filtrującą dokładnie i szybko, która od czasu do czasu zdejmuje się i wyrzuca.

Woda, wypływająca z filtrów, jest zupełnie przezroczysta i bezbarwna, pozbawiona wszelkiego obcego smaku i wszelkiej woni i zawiera w sobie nie więcej bakteryj, niż wody dobre do picia, choć przed oczyszczeniem zawierała ich mnóstwo. Jedyną jej wadą jest to, że nie jest dość zimną, co pochodzi ztąd, że klarowanie i filtrowanie odbywa się na otwartem powietrzu. Jest to uderzająco pomyślny rezultat, jeżeli zwłaszcza zważymy, że woda Nety w miejscu czerpania jest do tego stopnia nieczysta, że w porównaniu z nią woda z Sekwany, którą od czasu do czasu municypalność Paryża z konieczności zatruwa jego mieszkańców, może uchodzić za wyborną.

Sposób Andersona zastosowany został w rozmaitych miastach Hollandyi, a ostatnio w Boulogne-sur-Seine, gdzie woda czerpie się z Sekwany, jeszcze w obrębie Paryża.

Wszędzie rozbiory chemiczne i mikroskopowe dały zadawalniające wypadki. Z tem wszystkiem przyjemnie jest pomyśleć, że zarząd naszego miasta dał nam wodę może nie czystszą, ale niemającą takiej historyi, jak ta, którą piją mieszkańcy bogatej Antwerpii.

W. Skłodowski.

Korespondencja z Paryża literacka.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

W przeszłej korespondencyi naszej mówiliśmy o zmarłym w Awinionie Józefie Roumanillu, który dał pierwszy popęd do rozbudzenia ducha poetycznego w Prowancyi, tej kolebce dawnych trubadurów. Powracamy dziś jeszcze do niego, wielkie bowiem położył on zasługi i zjednał sobie cześć powszechną.

Setkami wieńców zasypano grób poety w Saint-Rémy. W tej wsi pełnej kwiatów, oblanej słońcem południowem, przyszedł na świat Roumanille, tu pragnął złożyć kości w owej ziemi cmentarnej, gdzie oddawna spoczywali rodzice. Wyraził to życzenie w kilku zwrotkach, które przytaczamy:

W nizkiej chacie otulonej w cień grusz i jabłoni,
Letnim rankiem, gdy na polu sierp i kosa dzwoni,
Pocichutku snuć począłem niemowlęce latka,
Ojciec mój był ogrodnikiem, ogrodniczką matka.

Ze siedmiorga dziatek pierwszy rodzicom zesłany,
Jam wniósł promyk łaski Bożej w ich domowe ściany,
Biedna matka nad kołyską śpiewała tak słodko,
Lulajże mi, mój maleńki, śpijże, moje złotko!

Zbiegły lata, ale domek jeszcze stoi cały,
Słonko wiosną na jabłoniach rozwija kwiat biały,
Ogródek się zazielenił, wszystko żyć poczyna,
Pszczółki brzęczą, tylko z gniazdka ubiegła ptaszyna!

Błagam Ciebie, spraw, o Boże! w dobroci bez miary,
Gdy ostatnią polknę kroplę z piołunowej czary,
Niech po długim znoju życia odpocznę w tej ziemi,
Com ją zdeptał w dni poranku stopki dziecięcemi!

Pieśni Roumanilla przebiegają z ust do ust w całej Prowancyi, dziewczęta śpiewają je przy kołowrotku, robotnicy przy żniwie i sprzęcie oliwek. Równą zdobyły popularność jego powiastki, pełne prostoty i barwy miejscowej, ożywione niezrównaną fantazyą. Parę z nich przełożył na francuzki język słynny powieściopisarz Alfons Daudet; powtarzamy je za nim.

I.

DOKTÓR Z KUKUNIAN.

We wsi Kukunian zamieszkał od dwóch lat nowy doktór. Umiał on wiele, gdyż niemało czasu poświęcił nauce, a przecież nie mógł jakoś zjednać sobie zaufania. Ludzie spotykali go wszędzie z książką w ręku, mówili też jedni do drugich:

— Nasz doktór nic nie umie, czyta i czyta bez ustanku; jeśli czyta, to dlatego że chciałby nauczyć się czegoś, bo potrzebuje nauki, widać ztąd, że nic nie wie, a jeśli nic nie wie, dowód oczywisty, że głupi.

Ta logika dziwnie poplątała umysły i nikt nie ufał doktorowi.

Doktór bez chorych, to niby kaganiec bez oleju, potrzeba jednak żyć, biedak przymierał nieraz głodem. Wypadało z tem skończyć raz na zawsze.

Dnia jednego doktór rozpuszcza wieść, że mądrość jego tak wielka, tak potężna, iż nietylko potrafi uleczyć z każdej choroby, ale, co więcej, gotów wskrzesić umarłego, choćby już trawa rosła na jego grobie.

Niewielu mu wprawdzie uwierzyło, jedni przecież mówili do drugich: „Co nam to szkodzi wystawić go na próbę? Zobaczymy jak się wywiąże, po robocie poznać robotnika. Może też i dokaże swego; ten człowiek tyle czytał! Czegóż bo dziś ludzie nie wymyślili? Zresztą jeśli dokona cudu, będziemy mu klaskali, jeśli chybi, wygwizdamy go ze wsi, niech wskrzesi choćby jednego nieboszczyka, poznamy zaraz, że on niebity w ciemię."

Stanęło na tem, że w niedzielę po sumie, jak dzwon uderzy na Anioł Pański, mądry doktór wskrzesi jednego, a może i kilku umarłych. W niedzielę przypadała właśnie Wielkanoc. Tłum zebrał się w kościele, na cmentarzu pełno też było ludzi. Ledwie że dzwon bić począł, doktór ukazał się jak przyrzekł, cały ubrany czarno. Musiał rozpychać tłum łokciami, dotarł wreszcie do krzyża, stanął na podwyższeniu.

Pokłonił się obecnym, otarł czoło i począł mówić:

— Przyjaciele moi, obiecałem wam wskrzesić umarłego, dotrzymuję słowa, a na dowód podnoszę rękę. Uciszcie się tylko i miejcie we mnie ufność. Łatwo mi przyjdzie powołać do życia Jana albo Jakóba, Annę albo Barbarę; czy chcecie bym wskrzesił Szymona, co przed rokiem zmarł na pleurę?

— Z przeproszeniem pana doktora — odpowie na to Katarzyna wdowa po Szymonie, — byłam ja z nim szczęśliwa, płakałam po nim, omało że mi oczy nie wypłynęły z głowy, ale nie pora go już wskrzeszać, bo oto, panie doktorze, w tym miesiącu kończy się żałoba, rodzice zeswatali mnie z Paskalem. Od dziś za tydzień pleban ogłosi zapowiedzi, już dostałam ślubny upominek.

— Dobrze o tem wiedzieć, Katarzyno, a więc wskrzeszę Annę, co umarła w Lutym, w dniu Naj. Panny.

— Niech Bóg uchowa, panie doktorze — zawoła Jakób, — Anna była żoną moją, przez dziesięć lat przetrwałem z nią czyścowe męki. Cała wieś nasza wie o tem. Niechże Anna zostanie tam gdzie jest, dla swego i mego spoczynku. Istny pieprz, panie doktorze, uparta jak osioł, próżniak, a dotego kłótliwa, a język u niej pełen jadu, nie przymierzając jak u żmii. Gotowaby pokłócić świętych w niebie. Ależ nie wszystko powiedziałem!

— No i cóż więcej?—mówże—zagadnie doktór.

— Otóż kobieta zmarła, nowe sitko na kołek. Zostałem z trojgiem dzieci, trudno mi było radzić, pojąłem drugą.

— Rozumiem — odrzecze doktór, — dwie żony w domu byłaby to męczarnia, poprzestańże na jednej! Muszę przecież wydobyć kogoś z grobu, a gdyby na przykład starego ojca Piotra?

— Co? ojca Piotra? — zawoła Feliks.

— Tak jest.

— Biedne ojczysko, niech Bóg da wieczny odpoczynek jego duszy. Święty naprawdę człowiek, nie wskrzeszaj go jednak, panie doktorze. Gdyby wrócił do życia, wpadłby tu w istny kołowrót. Serceby pękło biedakowi, tak mu szło o zgodę w rodzinie. Podzieliliśmy spadek między siebie, oj by-

[b]yż to kłótni i bijatyk! jeden drugiemu wydzierał [w]łosy z głowy. Nie obeszło się i bez procesu. Jest [n]as sześcioro: czterech synów i dwie córki, każdy [z] nas ma gromadkę dzieci, każdy też ciągnie wodę [n]a swój młyn, nikt z rodziny nie porósł w pierze.

— A zatem niepodobna!

— Z przeproszeniem pana doktora, gdyby ojciec [p]owrócił, toćby wypadało wyznaczyć mu coś na [u]trzymanie, a oto przyszły ciężkie czasy, jedwabni[k]i zmarniały, winnice chore, w oliwkach zalęgło [s]ię robactwo, deszczu ani kropelki, przepadnie cały [p]osiew.

— Skoro tak, niechże sobie stary Piotr odpoczy[w]a pod murawą, ale ja nie przyszedłem tu z łaski [n]a uciechę. Mówcie, kogo mam dobyć z grobu?

— Jagusię moję! zbudź ją, panie doktorze! — [z]awoła jedna z obecnych kobiet, zanosząc się od [p]łaczu.

— Panie doktorze! niech cię Bóg uchowa — [p]rzerwie młoda dziewczyna. — Biedna Jagusia [n]iech spokojnie śpi w grobie. Ubrałyśmy ją do [t]rumny w białą sukienkę, uwiłyśmy jej wianek na [g]łowę. Wyglądała jak panna młoda do ślubu. Pozostawmy ją w ziemi świętej. Ten, co jej był miłym, pojął inną za żonę.

— Biedna Jagusia — rzecze doktór, — ależ to [n]udna sprawa, trzeba raz skończyć! Wskrzeszę chyba Grygoleta, co się udławił ością rybią parę tygodni temu.

— Nie chcę! nie chcę!—wykrzyknie Luiset, podnosząc obie ręce dogóry. — Sprzedał mi na przeżycie swoję chatę z ogródkiem i winnicę. Płaciłem przez lat dziesięć umówioną kwotkę, musiałbym znowu płacić! Panie doktorze, nie chciej-że mojej krzywdy!

— Zostawię go w pokoju — rzecze doktór, — ale znałem ja jednego, ten nie zostawił żony, ani dzieci, ani brata, zostawił tylko pamięć człowieka poczciwego. Mówię tu o waszym starym plebanie. Wszyscyście go kochali i serdecznie płakali, gdy go w ziemi grzebano. A gdybym go też wskrzesił?

— Oj nie, nie! — zawołało kilka starych kobiet.

— Nażył się dosyć — doda jedna, — a głuchy był jak pień, ilekroć słuchał mnie spowiedzi, ja swoje a on swoje, istne koszałki opałki. Niechże spoczywa w chwale Bożej! Mamy już nowego plebana, ten śpiewa, jakby grał na organach, a jak przemówi z ambony, jest doprawdy czego posłuchać.

— Jak tu wszystkim dogodzić? — zagadnie doktór, — obróćmy się oto w inną stronę, widzę tam krzyżyk drewniany, cały obrosły trawą, to grób niemowlęcia, miało ledwie dziewięć miesięcy gdy umarło, tak mówi napis. Może to i grzech budzić niebożątko, jemu tak dobrze poza światem, gdzie nie słyszy was, drodzy moi. Gdybyście jednak chcieli... jam gotów.

— Panie doktorze — odpowie ze łzami stara kobieta, — to maleństwo nasze, jam jego babką, umarło nam na ząbki. Ślicznyż to był aniołek! Bóg go zabrał, niech będzie Jego święta wola! Córka moja karmi już drugie dziecię, Bóg odbiera i daje. My ubodzy, matka nie wykarmi dwojga, a na mamkę brak nam zasobu.

— Dosyć już, dosyć na dzisiaj, zawiele nawet — rzecze doktór. — Kiedy nie chcecie abym spełnił cud przed oczyma waszemi, muszę radzić sobie w inny sposób. Nie będę już wskrzeszał nieboższczyków, bo wy sami stawiacie mi przeszkody, ale pomagać będę żywym, aby nie szli do grobu. Bóg z wami, przyjaciele!

I doktór wybiegł z tłumu.

Któżby zgadł? Od tej oto pamiętnej niedzieli nasz doktór czynił istne cuda. Nie wskrzeszał umarłych, ale zachował przy życiu niejednego. Mieszkańcy wsi zaufali mu najzupełniej.

— Bogiem a prawdą — mówili jedni do drugich, — jeśli nie dotrzymał nam słowa na cmentarzu, on temu nie winien. Bądźmyż dla niego sprawiedliwi!

II.

KAZANIE OJCA MARCINA.

W Kukunian plebanem był ksiądz Marcin. Dobry jak chleb, szczery jak złoto, kochał ojcowskiem sercem parafian. Dla niego Kukunian byłoby rajem ziemskim, gdyby mu Kukunianie więcej przynosili pociechy. Ale pająki przędły kądziel w jego konfesyonale, wiatr gwizdał po pustych kątach kościoła. Serce plebana nieraz pękało z żalu. Prosił Boga, aby pozwolił mu, nim zamknie oczy, sprowadzić z manowców do owczarni rozproszoną gromadkę.

Długo szukał sposobu jakby temu zaradzić, aż oto przyszła mu myśl do głowy.

Jednej niedzieli wstępuje na ambonę.

— Bracia moi — rzecze, — opowiem wam sen, jaki miałem tej nocy. Dziwne Pan Bóg zsyła nam ostrzeżenia. Kto chce, niechaj uwierzy.

Otóż ja, nędzny grzesznik, ośmieliłem się stanąć u bramy raju. Kołaczę... święty Piotr mi otwiera.

— Ha, to ty, ojcze Marcinie! — zagadnie słodko, — cóż cię tutaj sprowadza?

— Święty Piotrze! Ty, co wpisujesz w wielką księgę imiona błogosławionych, racz mi powiedzieć, ile w raju przebywa Kukunianów?

Na to święty Piotr otwiera wielką księgę, odwraca w niej kartę po karcie.

— Mój ojcze Marcinie — rzecze smutno, — nie znajduję ani jednej duszyczki.

— Jakto? ależ to niepodobna!

— Patrz sam, ja wcale nie żartuję.

Żal ciężki mnie ogarnął, załamałem ręce z boleścią, rozpłakałem się na głos.

— Uspokójże, się ojcze, nie twoja w tem wina. Toć chyba Kukunianie twoi odbywają kwarantannę czyścową.

— Pozwól niech ich zobaczę, niech im szepnę słowa pociechy.

— Dobrze, zgadzam się na to, weźże moje sandały, bo droga krzemienista. Idź prosto przed siebie, a potem skręć na prawo, jest tam brama srebrna, a na niej krzyż czarny. Zapukaj, otworzą ci zaraz.

Idę naprzód, strach mnie ogarnął, ścieżka wązka, najeżona cierniskiem, węże wiją się, syczą, dotarłem wreszcie do bramy. Pukam.

— Kto tam? — odezwie się głos przytłumiony.

— To ja, pleban z Kukunian.

Rozwarła się brama, wchodzę. Piękny anioł z ciemnemi skrzydły jak noc, w szacie promienistej jak zorza, z kluczem dyamentowym u pasa, siedzi przy stole pochylony nad księgą.

— Czego żądasz, ojcze? — zapyta.

— Piękny Aniele Boży, radbym oto wiedzieć, czy są tu moi Kukunianie? Ja jestem ich pasterzem.

— Ha, więc to ojciec Marcin?

I anioł otworzył wielką księgę, szuka, przegląda wszystkie karty.

— Ojcze Marcinie — rzecze z westchnieniem, — niema tu nikogo z Kukunian.

— Jezus Marya! nikogo? a gdzieżby oni byli?

— Znajdziesz ich pewnie w raju.

— A toż ja ztamtąd idę; nie spotkałem tam ani jednej duszyczki.

— Ha, trudna rada, mój ojcze, skoro ich niema w raju ani w czyścu, muszą być chyba...

— Jezu synu Dawida! czyż to być może! Biadaż mi, biada! jakże ja dostanę się do raju, skoro tam niema żadnej z owieczek moich?

— Uspokój się, biedny mój ojcze, idźże tą ścieżką, zawróć potem nalewo, zobaczysz wielkie wrota, przekonasz się na własno oczy.

I anioł zamknął bramę.

Idę... ścieżką długą, posypaną zarzewiem, zataczam się cokrok, jak pijany. Pot kroplisty pocieka mi z czoła. Gdyby nie sandały, byłbym nogi poparzył.

Zawracam na lewo, widzę ogromne wrota na oścież rozemknięte. O moje dzieci, cóżto za straszny widok! Tu nikt nie zapyta kto jestem, niema tu żadnej księgi. Tłum popycha się, ciśnie, jak wy, bracia moi, gdy w niedzielę wchodzicie do gospody.

Dreszcz przebiegł mnie do szpiku, włosy dębem powstały mi na głowie, zabrakło mi tchu w piersi.

— No, wchodźże! —zawoła rogaty dyabeł,—trącając mnie widłami.

— Ja nie wchodzę — odrzekłem, — jam sługa Boży.

— Sługa Boży? i pocóż tu przyszedłeś?

— Przyszedłem oto — rzeknę drżący jak liść, — zobaczyć swoich Kukunianów.

— A jest-ci ich tu cała chmara! patrz oto, czarny kruku!

Przyglądam się zdaleka, widzę ich, poznaje przez kłąb czarnego dymu.

Oto Kukulin, co to upijał się jak bydlę i bił okrótnie żonę, poczciwą Klarę.

Oto Paskal, co sprzedawał oliwę, wytłoczoną z oliwek starego Juliana.

Oto Babeta, co chodziła w żniwa na pokłosie i całą garścią wyciągała zboże z cudzych snopów.

Oto Katarzyna, co sprzedawała za mleko wodę ze swojej studni.

Oto Jakób ze swoją Zetą, i bezbożny Tortilard i nikczemny Antoni.

Umilkł pleban... patrzy na słuchaczy, twarze blade, ręce zaciśnięte boleśnie, głośny płacz rozlega się dokoła.

— Bracia moi! — rzecze po chwili, — czujecie sami, że tak dłużej pozostać nie może. Jam za was odpowiedzialny przed Bogiem, toż pragnę was ocalić. Jutro zabierzemy się do dzieła. Nie traćmy czasu, wiele jest do roboty. Zobaczmy oto, jakim rzeczy pójdą porządkiem.

Jutro w poniedziałek wyspowiadam starych dziadków i babki, to mi przyjdzie dość łatwo.

We wtorek kolej na dzieci, zakończymy w oka mgnieniu.

We środę młodzież i dziewczęta, potrwa to dosyć długo.

We czwartek mężczyźni, z tymi prędko zakończy się rozprawa.

W piątek kobiety, opowiecie rzecz krótko, węzłowato, bez długich historyj.

W sobotę młynarz, na niego zaledwie dzień wystarczy.

A w niedzielę, jak się, da Bóg, wszystko załatwi, będzież to wam w duszy leciuchno i radośnie!

Bo to widzicie, moje dziatki, kiedy zboże dojrzało, trzeba je zżąć; kiedy wino ściągnięte z beczki, trzeba je wypić; kiedy szmaty nieczyste, trzeba je wyprać, dobrze wyprać w krynicznej wodzie.

Tej łaski wam życzę, drodzy moi!

Od tej pamiętnej niedzieli wszystko w Kukunian dziwnie się przemieniło. Rozgłos o poczciwych Kukunianach rozbiegł się na całą okolicę.

Ojciec Marcin nie może się nacieszyć; niedawno opowiadał inny sen miłym parafianom swoim. Widział we śnie, jak przy blasku jarzących świateł, zawodząc dziękczynne *Te Deum*, prowadził wierną trzodkę swoję ponad gwiazdy i słońca do stóp Bożego tronu!

STRZAŁ.

NOWELA.

Mały, zielony pokój w Stavnede służył tylko za przejście do całego szeregu komnat dalszych. Nizkie poręcze krzeseł, stojących wzdłuż obić perłowych, bynajmniej nie zachęcały do dłuższego pobytu. Na środku jednej ze ścian sterczała para rogów jelenich i wieńczyła plamę jasną, której kształt wyraźnie świadczył, iż w tem miejscu kiedyś lustro wisiało owalne. Na haku unosił się słomiany kapelusz damski o szerokich skrzydłach, z długiemi, zielonemi wstążkami. W kącie na prawo stała oparta dubeltówka wraz z manierką myśliwską, na lewo pęczek nitek do sieci rybackich, a do jednego ze sznurów przyczepiona była para rękawiczek. W samym środku pokoju stał mały stół okrągły o złoconych nogach, a na czarnym jego blacie marmurowym leżał duży bukiet z paproci.

Miało się ku południowi. Przez górne szyby u okien światło słoneczne szerokiemi, złocistemi strumieniami dostawało się do pokoju i padało na paprocie; niektóre z nich przepysznie były zielone, inne zwiędłe, nie uschły jednak, ani straciły formy, pierwotny tylko ich kolor zmuszony był ustąpić obfitości żółtych i bronzowych cieniowań, od najdelikatniejszego biało-żółtego, aż do najmocniejszego czerwono-brunatnego.

Przy oknie siedział mężczyzna mający lat ze dwadzieścia pięć i pilnie przypatrywał się owym barwom wesołym. Drzwi do pokoju przyległego na oścież były otwarte, a w nim młoda, wysokiego wzrostu kobieta grała na fortepianie. Fortepian był przysunięty do nizkiego, otwartego okna, tak że wygodnie mogła wyglądać na murawę i gościniec, gdzie wytwornie ubrany młodzieniec ujeżdżał siwego konia. Jeździec ten był jej narzeczonym i nazywał się Niels Bryde; ona była córką pana domu. Siwek do niej należał, a tam w przedpokoju siedział jeden z jej kuzynów, syn jej stryja Linda z Begtrup, który umarł w biedzie i długach i o którym za życia nic nie mówiono dobrego, bo nie zasługiwał na to. Jego to syna Heninga przygarnął do siebie Lind ze Stavnede i wychował własnym kosztem, ale bardzo oszczędnie, chociaż bowiem Hening niepoślednie okazywał zdolności i zamiłowanie do książek, zaraz po konfirmacyi przecież odebrano go ze szkoły, aby w domu w Stavnede obeznał się z rolnictwem.

Był więc rodzajem rządzcy we dworze, bez rzeczywistej powagi jednak, ponieważ stary Lind nie mógł się powstrzymać od mieszania się do wszystkiego. Wogóle pozycya jego nie była świetną. W majątku panował nieład, ulepszenia zaś były niemożliwe zpowodu braku kapitału. Nie mogło wcale być mowy o dotrzymywaniu kroku już nietylko czasowi, ale nawet sąsiadom. Wszystko musiało iść dalej tak, jak szło Bóg wie od jak dawna: należało wydobywać o ile możności jaknajwięcej z jaknajmniejszych zasobów. W złych latach musiano nawet sprzedawać kawały gruntu, byle choć trochę mieć gotówki.

Tracić czas i siły naprożno bardzo to było smutnem dla młodego człowieka. Dotego przybywał jeszcze zapalczywy i nieobliczający się sposób postępowania starego Linda, który, okazawszy Heningowi niejedno dobrodziejstwo, sądził, że nie jest obowiązanym do żadnej względem niego wyrozumiałości. Nie wahał się też przypominać mu w chwilach gwałtownych, że gdy go wezwał do siebie, był chłopakiem wygłodniałym, kiedy zaś był rozgniewanym naseryo, posuwał się tak daleko, że, lubo zgodne z prawdą, lecz w najwyższym stopniu obrażające czynił aluzye do życia jego ojca.

Kilka razy Heninga zapraszał do siebie wuj, kawaler ze Szlezwigu, który prowadził tam rozległy handel drzewem, a on niewątpliwie dawno już byłby uciekł od życia w Stavnede, gdyby nie był po uszy zakochany w kuzynce swojej, tak dalece, iż nie mógł sobie wyobrazić możliwości istnienia gdzieindziej, aniżeli ona.

Ale miłość to nie była szczęśliwa. Agata lubiła go dosyć; jako dzieci bawili się ze sobą i o tem wciąż jeszcze pamiętała. Kiedy jednak przed rokiem blizko oświadczył się jej, wpadła w gniew i zdumiona powiedziała mu, że uważa to za żart lekkomyślny i spodziewa się, że tego nie powtórzy więcej.

Pogardliwe postępowanie bowiem, które zawsze względem niego uważała za stosowne i które znosił jedynie z miłości ku niej, rzeczywiście poniżyło go w jej oczach tak, że uważała go za należącego do innego, niższego gatunku, nie niższego co do stanowiska i stosunków zewnętrznych, ale niższego co do czucia i pojęcia honoru.

I wkrótce potem zaręczyła się z Brydem.

Czego Hening nie wycierpiał od czasu, odkąd to nastąpiło! Pozostał jednak. Nie mógł rozstać się z myślą, że ją kiedyś posiędzie; miał nadzieję, że stanie się to lub owo, albo raczej wcale nie miał nadziei, majaczył tylko o dziwnych wypadkach, jakie nadejść mają i położyć kres nienawistnemu związkowi, sam przecież nie oczekiwał, aby fantazye jego kiedykolwiek miały się stać rzeczywistością; brał je tylko za pozór do pozostania.

— Agato! — zawołał jeździec, zatrzymując konia tuż u okna otwartego. — Wcale nie patrzysz na nas, choć tak dobrze nam idzie teraz!

Agata odwróciła głowę do okna, kiwnęła przyjaźnie i rzekła, grając dalej:

— Patrzę, patrzę, przecież omało nie przewróciliście się tam u krzewu!

I żwawo przebiegała po klawiszach. „Dalej! hi! hop!" i hałaśliwą rozpoczęła melodyą.

Ale jeździec się zatrzymał.

— A więc?

— Powiedz mi, czy masz zamiar przez całe przedpołudnie pozostać u fortepianu?

— Tak.

— Tak? w takim razie myślę... spróbujemy, możemy pojechać do Hagestedhof i być z powrotem na obiad.

— Pewnie, ale pośpieszcie się. Bądź zdrowa, pulchna Blies, bądź zdrów, Niels!

Pojechał tedy. Zamknęła okno i grała dalej, niedługo wszakże. O wiele przyjemniej było grać podczas gdy on przejeżdżał się i niecierpliwił pod oknem.

Hening, nie wstając z krzesła, wodził wzrokiem za odjeżdżającym. Jakże nienawidził tego człowieka! Gdyby nie *on*!... a przytem wcale nie dla siebie byli stworzeni. Gdybyć choć małe przyszło nieporozumienie, aby mogli pokazać się wzajem, jakimi byli wistocie!

Agata weszła do zielonego pokoju, nucąc motyw nokturna, które grała przedtem. Doszła do stolika i zaczęła porządkować bukiet paproci.

Światło słoneczne padało prosto na jej ręce. Były one duże, białe i pięknie ukształtowane. Hening zawsze zachwycał się niemi, a dziś szerokie miała rękawy, tak że okrągłe ramiona widzialne były po łokcie. Jakże czarujące były te ręce z miękką pełnością swoją, z barwą olśniewającą, z formami pełnemi siły; a potem owa delikatna, zmienna gra muskułów, owe wdzięczne ruchy, ów gest prześliczny, falisty, gdy gładziła sobie włosy! Jakże często gniewały go te ręce, gdy musiały skakać i biegać po głupich klawiszach; do tego nie nadawały się wcale, powinny były raczej spoczywać na ciemnej sukni jedwabnej, zdobne w wielkie pierścienie, niby odaliski nagie.

Kiedy tak bawiła się ziołami paproci, twarz jej miała wyraz szczęścia obojętnego, który drażnił Heninga. Czemuż dla niej, która wydarła mu wszelką światła iskierkę, życie miało tak być jasnem i łatwem? Gdyby zakłócić jej ten spokój, rzucić cień na jej drogę?! Ona w proch zdeptała jego miłość i stąpała po niej, jak po rzeczy nieżyjącej, jakby to nie była dusza człowiecza, która z utęsknieniem i szczęścia spragniona jęczała i wiła się wśród tej miłości.

— Zaraz pewnie będzie w Borreby — rzekł i wyjrzał oknem.

— Nie, pojechał do Hagestedhof — odparła.

— Tak, tak, alež to niedaleko z drogi.

— Cóż znowu? Wszak to nie po drodze.

— No, właściwie nie; czy jeszcze tak często tam bywa?

— Gdzie?

— W Borreby naturalnie, u leśnika.

— Tego nie wiem, doprawdy; czegóżby tam szukał?

— Ach, to pewnie plotki, wiesz, jest tam ładna córka.

— Więc, i?...

— No, mój Boże, nie wszyscy mężczyźni są mnichami.

— Czy mówią co o tem?

— Co tam, mówią wszak o wszystkich ludziach; ale mógłby jednak być ostrożniejszym nieco.

— Ale co mówią? co mówią?

— Eh, schadzki i co zazwyczaj.

— Kłamiesz, Heningu! Nikt nie mówi o tem, ty to wszystko komponujesz.

— Jeżeli nie wierzysz, pocóż się pytasz? Cóż bo za przyjemność miałbym opowiadać o powodzeniu, jakie ma u dziewcząt w Borreby?

Zostawiła paprocie i zbliżyła się do niego.

— Nie sądziłam, że jesteś tak nizkim, Heningu! — rzekła.

— Tak, moja kochana, pojmuję, że jesteś oburzona, słusznie cię gniewa, że tak mało sobie zadaje przymusu, jeszcze teraz przynajmniej.

— Tfu, Heningu! to szkaradne i niegodne z twojej strony, ale ja nie wierzę twym kłamstwom.

— Tak, toć nie ja szerzę tę wieści — rzekł i spuścił oczy, — nie byłem przytem, jak się całowali.

Agata nachyliła się i pogardliwie uderzyła go w twarz.

Zbladł jak trup i rzucił na nią spojrzenie, które miało w sobie coś z chorego psa i obrażonego mężczyzny. Agata ukryła twarz w dłoniach i szła ku drzwiom otwartym. Wtem przystanęła i oparła się, jakby się jej zaćmiło w oczach, potem obejrzała się poprzez ramiona i wyrzekła spokojnie i zimno:

— Wiedz, Heningu, że nie żałuję tego, com uczyniła!

A potem znikła.

Hening długo siedział, jak ogłuszony. Potem powlókł się do pokoju swego na górę i rzucił się na łóżko. Brzydził się samym sobą. Wszystko więc stracone, najrozsądniejby było poczęstować się kulą w łeb; żyć, przesuwać się przez życie, z trwożnem spojrzeniem, jak pies kopnięty? Nie! Uderzenie jej wycisnęło na nim piętno niewolnika i miała racyą; wobec takiej podłości nie pozostawało nic innego. Jakże ją kochał! Płomieniście, do szaleństwa, ale nie jak mężczyzna, tylko jak pies w prochu u jej nóg, niby przed bożyszczem jakiem.

Stali raz w ogrodzie; ona wyrzynała imię swoje na jednem z drzew, wiatr igrał z jej włosem, on zakradł się zcicha, by pocałować loki rozwiane, i przez tygodnie całe szczęśliwym był z tego powodu; nie, skłonność jego nigdy nie miała męzkiej odwagi i śmiałych nadziei, był niewolnikiem we wszystkiem, w miłości, nadziei i nienawiści. Dlaczego nie wierzyła temu, co on opowiadał, a ślepo ufała Nielsowi? Nie okłamał jej nigdy, pierwszy to był nizki postępek, jakiego dopuścił się kiedykolwiek, a zaraz to spostrzegła! Stało się to dlatego, że nie sądziła go zdolnym do niczego innego, prócz do nizkości i podłości. Nigdy go nie rozumiała i dla niej wytrzymał to długie, pełne trosk życie w Stavnede, gdzie każdy kęs chleba gorzkniał mu w ustach na myśl, że był darowanym. Doprowadzało go to do wściekłości. Jakże nienawidził sam siebie zpowodu bezmyślnej cierpliwości i pokornej nadziei! Byłby wstanie zamordować ją za wszystko, co mu uczyniła, i pragnął zemścić się, aby mu się wynagrodziły długie lata poniżenia, tysiące godzin pełnych mąk. Zemsty za utracony szacunek dla samego siebie, zemsty za swą namiętność niewolniczą i zemsty za uderzenie w twarz!

Tak nosił się z marzeniami o zemście, jak przedtem z marzeniami o miłości, i nie zastrzelił się i nie wyjechał.

* * *

W kilka dni potem zrana Henning stał na dziedzińcu z dubeltówką i torbą myśliwską. Po chwili nadjechał na koniu Niels Bryde, również przygotowany do polowania, a jakkolwiek obaj wzajem o sobie niewielkie mieli wyobrażenie, rozmawiali jednak ze sobą poprzyjacielsku i udawali, że są zachwyceni, iż tak szczęśliwie się zdarzyło i mogą wspólnie odbyć wycieczkę. Zdążali wdół ku „Ronowi," dosyć dużej, płaszczystej wyspie, porosłej wrzosem, położonej tuż u ujścia fjordu.

Na „Ron" na jesieni licznie zawsze przybywały psy morskie. Tarzały się one po ławach piaszczystych, sterczących ku morzu, lub spały na nich. Na te psy właśnie mieli zamiar polować. Gdy stanęli na miejscu, każdy z osobna poszedł wzdłuż wody. Szare, wilgotne powietrze zwabiło dużo zwierzyny, myśliwi też nasi naprzemiany własne słyszeli strzały. Zwolna mgła się zwiększała i około południa tak gęsto i grubo zaległa wyspę i fjord, iż niepodobieństwem było z odległości dwudziestu kroków odróżnić kamień od psa.

Henning usiadł na brzegu i nieruchomo spoglądał we mgłę. Bardzo było cicho, zpośród ciężkiego, przygnębiającego milczenia słychać było tylko lekki, pluskający odgłos od strony wody i trwożny świst samotnego przechodnia.

Znużyły go myśli wszystkie, znużyła nadzieja, znużyła nienawiść i osłabiły marzenia. Tak siedzieć cicho i spoglądać jakby w pół-śnie, myśleć że świat jest czemś w dali, w wielkiej dali położonem, czemś przebytem, siedzieć tu cicho i zabijać godziny, to wydawało mu się spokojem, szczęściem niemal.

Wtem poprzez mgłę usłyszał śpiew świeży i wesoły:

„W Maju przywiodę bogdankę w dom,
Śliczną różę w bieli liliowej,
Grajcie mi, grajki, grajcie wesoło!

Niech bukiecik zielony las wsadzi na czoło,
Pstre barwy niech u łąki zaświecą łona,
Niech pełnia w lazur wstąpi niebieski,
A słońce wśród pląsów zgrzeje się z radości.

A kukułka niech woła i szczęście nam zwiastuje,
Drozd i zięba piosenkę zagwiżdżą wesołą,
Ja troskę, smutek zatrzymam zdaleka."

(Dokończenie nastąpi.)

Z chwili bieżącej.

* **Zasłużeni.** Powiększa się liczba pomników artystów zasłużonych na naszej scenie, mających ozdobić foyer przerobionego teatru Wielkiego. Wiedzieliśmy już o Moniuszce, Królikowskim i Żółkowskim, obecnie przybywa do nich ś. p. Józefa z Reszków Kronenbergowa. Nie mamy osobiście nic przeciw nieboszce; Reszkówna (pod tem nazwiskiem znał ją świat artystyczny i Warszawa) była utalentowaną i zacną kobietą, która talentu swego nie skąpiła na dobre cele, ale artystką teatru warszawskiego nigdy nie była, na jego deskach występowała wprawdzie w roli anioła, ale anioła dobroczynności.

Chociaż więc z jej występów coś się okroiło i teatrowi, a właściwie artystom, to jednak do uczczenia pomnikami w foyer winnoby mieć pierwszeństwo przed nią tylu artystów, którzy całe życie scenie tutejszej poświęcili i chlubą jej i zaszczytem się stali. Nie sięgając dalej, wymienimy tutaj tylko choćby Panczykowskiego i Bakałowiczową.

Powtarzamy, słowami temi nie kieruje, broń Boże, żadna przeciw ś. p. Reszkównie animozya, tylko poczucie uznania prawdziwej zasługi.

* **Nowe czasopismo.** Niby *lux a non lucendo*, nazywamy się krajem rolniczym od tego, że nie dbamy o rolę i o rzeczy do niej się odnoszące. Zaledwie jedno, a co najwyżej dwa czasopisma rolnicze z trudem u nas utrzymać się mogą; u naszych rolników z wstrętem do roli tylko wstręt do czytania równać się może, czego dowodem jest między innemi świeże zawieszenie wydawnictwa tygodnika „Gospodarz i przemysłowiec."

Jakby chcąc stwierdzić przysłowie, że w naturze nic (nawet czasopisma!...) nie ginie, upadłe wydawnictwo nabył pan Rahoza, urzędnik kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, i po uzyskaniu zezwolenia na odpowiednie zmiany, zamierza uczynić ten organ przemysłowo-kolejowym. Życzymy nowej publikacyi jak najlepszego powodzenia, ale nie mamy sumienia wróżyć jej różowych widoków. Że przemysł drukowany u nas nie popłaca, świadczy o tem choćby, powyżej zacytowany, smutny przykład „Przemysłowca," a wiemy z równie smutnego doświadczenia, że u nas i kolejowe „organa" wcale nie prosperują.

Miałżeby aliaż przemysłu z kolejowością mieć przed sobą lepsze szanse, niż każde z nich zosobna?...

* **Pensyonat wakacyjny.** Częstokroć ludziom napozór poważnym i rozumnym przychodzą do głowy pomysły, o których niewiadomo co sądzić. Wprawdzie wyjałowienie pomysłowości ludzkiej jest ogólnem naszej epoki znamieniem; jedyny może i to tylko pod pewnym względem wyjątek stanowi Edison, ale i on, okulbaczywszy raz elektryczność, jeździ na niej aż do skutku.

Wyjałowienie to jednak u nas wybujało bardziej, niż gdziekolwiek. Albo powtarzamy za panią matką pacierz i idziemy owczym pędem za drugimi, albo wpadamy na pomysły, jak to mówią: ni w pięć, ni w dziewięć, ni przypiął ni przyłatał.

Do takich pomysłów należy między innemi „Pensyonat wakacyjny." Co to jest?... Kto z nas, ojciec lub uczciwy opiekun, mogąc notabene wydać na niego przez ten czas do 50 rs. miesięcznie, bo tyle kosztowałoby ulokowanie go w owym pensyonacie, umieści swoje dziecko lub swego pupila na czas wakacyj gdzieindziej jak pod własną strzechą, a przynajmniej pod własnym dachem, pod swojem okiem i przy swojem sercu? Kto z nas będzie miał sumienie oddawać dziecko na czas wakacyjny do jakiegoś nowego rodzaju zakładu szkolnego, kiedy zdrowa logika zarówno, jak zdrowa pedagogika uczą, że czas wakacyjny przeznaczony jest właśnie na wytchnięcie ucznia od feruły szkolnej, na wyprostowanie się młodego umysłu, giętego ciągle nieubłaganym mechanizmem szkolnej rutyny? Zarówno fizyczna jak moralna natura dziecka koniecznie tego wymaga; w przeciwnym razie, wakacye byłyby chyba wyłącznie dla profesorów...

Wobec tego w takim „pensyonacie wakacyjnym" umieszczanoby chyba dzieci, których zarówno rodzina jak opiekunowie za nic w świecie nie chcieliby mieć u siebie przez wakacye; ale w takim razie nazywajmy rzeczy po imieniu, nazwijmy pensyonat taki „karnym," jak są osady karne, bataliony karne i t. p., boć trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś nawet sierotę, i to notabene sierotę na którą jest z czego wydać 50 rs. miesięcznie, uwolnioną na kilka tygodni ze szkoły, oddawał do nowego rodzaju szkoły w innym celu, jak za karę...

* **Wynalazek.** Ze względu na pomienioną wyżej jałowość na polu nowych pomysłów, skwapliwie notujemy każdy pomysł, każdy wynalazek swojski. Otóż pan Brandel, znany nasz fotograf, wynalazł nowy, a raczej ulepszył dotychczasowy aparat fotograficzny do zdjęć natychmiastowych. Wynalazca w tych dniach dokonał próby ze swoim udoskonalonym przyrządem, który zaprodukował się nader korzystnie. Przedstawia on, między innemi, możność skontrolowania ilości zużytkowanych klisz i daje obrazy formatu fotografij gabinetowych.

G. Cz.

☛ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Іюля 1891 г.

Redaktor i Wydawca **Emil Skiwski.**

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Dodatek.



N. 1. Suknia z otwartym kaftanikiem. Patrz ryc. 4. N. 2. Suknia z paskiem gorsecikowym. Patrz ryc. 19. .3. Sukieneczka dla dziewczynki.

N. 2 i 14. Suknia z paskiem gorsecikowym.

Rycina 19 przedstawia oddzielnie pasek gorsecikowy z bretelkami, 14 c. szeroki i zapinany niewidocznie z tyłu, dopasować go można podług formy zwykłego stanika, krając tylko na potrzebną wysokość a odrzucając górę; linią wcięcia stanu oznaczona na formie stanowi dolny brzeg paska, na szwach daje się fiszbiny. Bretelki z wstążki $4\frac{1}{2}$ c. szerokiej po 70 cent. długie przykryte zmarszczaną, odwróconą na nie koronką 12 c. szeroką, naszytą z przodu i z tyłu wzdłuż paska. Stanik bluzkowy jest wokoło szyi zmarszczony na 7 c. rękawy przemarszczone nakształt sztylp 13 cent. wysokich. Spódnica kliniasta 230 c. szeroka, zmarszczona z tyłu, nie wymaga podszewkowej spódnicy i ozdobiona jest wolantem 26 c. szerokim, przemarszczonym w nagłówek 3 c. wysoki, nad obrębem wszyta ażurowo wszywka koronkowa 6 c. szeroka. Brzegi gorsecika wełnianego otacza aksamitna wypustka, przy materyałach letnich do prania, trzeba ją dać z tego samego lub z gładkiego materyału.



N. 5. Kapelusik z płaską główką dla dziewczynki.

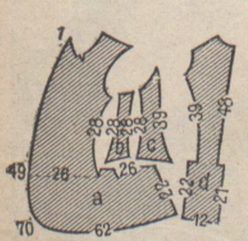
N. 3. Sukieneczka dla dziewczynki.

Gładki jasno-niebieski muślin wełniany przybrany jedwabną wstążką 4 c. szeroką; podszewka pod bluzką i spódniczkę może być z białego perkalu. Spódniczka spodnia 33 c. długa 140 c. szeroka, pokryta u dołu na 15 c. materya-

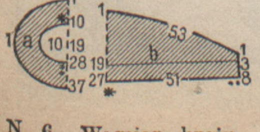
Opis do N-ru 30.

N. 1 i 4. Suknia z otwartym kaftanikiem.

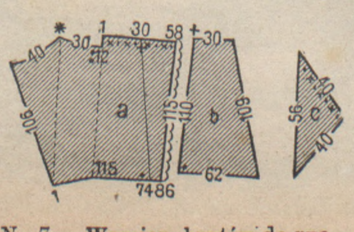
Nowość stanowi przy jednakowej spódnicy i kamizelce kaftanik z odmiennego materyału; r. 1 przedstawia przy niebieskiej wełnianej sukni, kaftanik z cienkiej flanelki w paski niebieskie i białe. Na r. 4 wskazujemy zmianę zachodzącą w kroju paletocika, którego baskina kraje się od przodów w jednym ciągu do obydwóch boczków krajanych krótko, brzegi przednie podszyte szeroko materyałem, odwinięte na ranwersy. Kołnierz wykładany aksamitny. Spódnica 350 c. szeroka z prostych brytów, złożona z przodu w kontrafałdę w górze 25, u dołu 45 c. szeroką; tylne bryty są zmarszczone. Krótka kamizelka zapięta na metalowe guziczki, w górze wycięta podłużnie i dopełniona szmizetką płócienną z męzkim krawatem, u dołu obciśnięta paskiem z klamrą metalową. Na głowie helgolandka z kolorowego perkalu.



N. 4. Wskazanie kroju kaftanika do ryc. 1.



N. 6. Wymiar kroju do ryc. 10.



N. 7. Wymiar brytów do ryc. 24 i 40.



N. 8—9. Uczesanie i kołnierz wykładany. N. 10—11. Kapelusz batystowy i bluzka z karczkiem. Patrz ryc. 6.

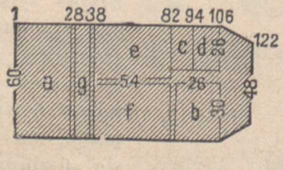
łem, zwierzchnia 210 c. szeroka u dołu zakończona wstążką, u góry zmarszczona i przyszyta do staniczka. Stanik na gładkiej z tyłu zapiętej podszewce, ma wierzch układany w kontrafałdy; karczek formą okrągłego kołnierza, 7 c. szeroki, przemarszczony w trzy odstające bufeczki i zakończony wolantem 5 cent. szerokim. Rękawy poniżej łokcia przemarszczone w dwie bufki i zakończone wązką gładką sztylpą; wyszycie ściegiem cierniowym jedwabiem niebieskim. Pasek zapięty z tyłu rozetą z wstążki. Duży słomkowy kapelusz opasany wstążką spuszczoną w długich końcach z tyłu.

N. 5. Kapelusik z płaską główką dla dziewczynki.

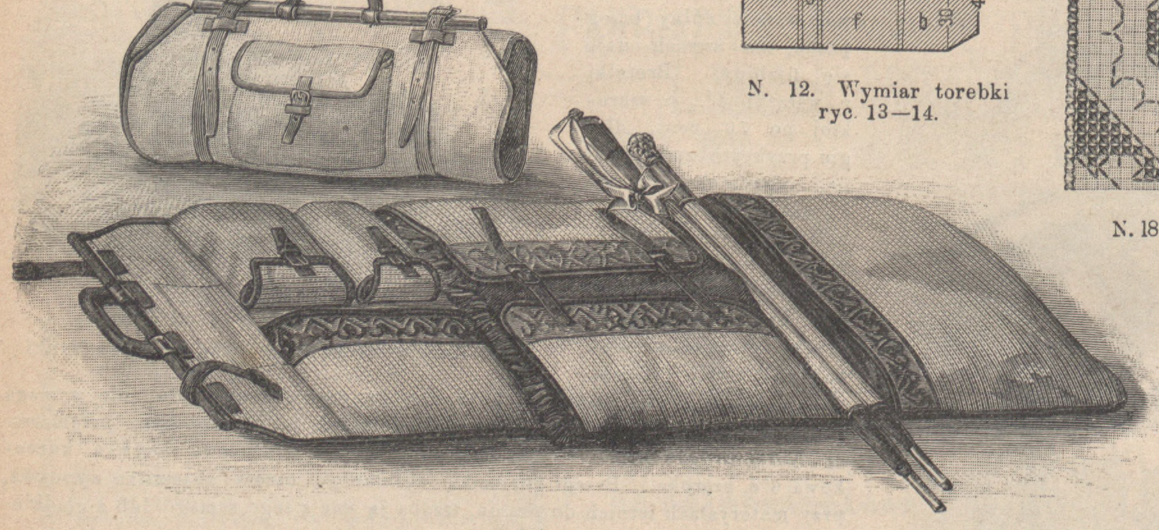
Pleciony z grubej słomki naturalnego koloru, ma z brzegów szlak ażurowy 6 c. szeroki, kształtem przypomina chińskie kapelusze i od spodu podpięty jest paskiem utrzymującym go na głowie. Przybranie składa się z różowej repsowej wstążki $2\frac{1}{2}$ c. szerokiej, przewiniętej wierzchem i ułożonej w kokardy i z bukietu różowych stokrotek.

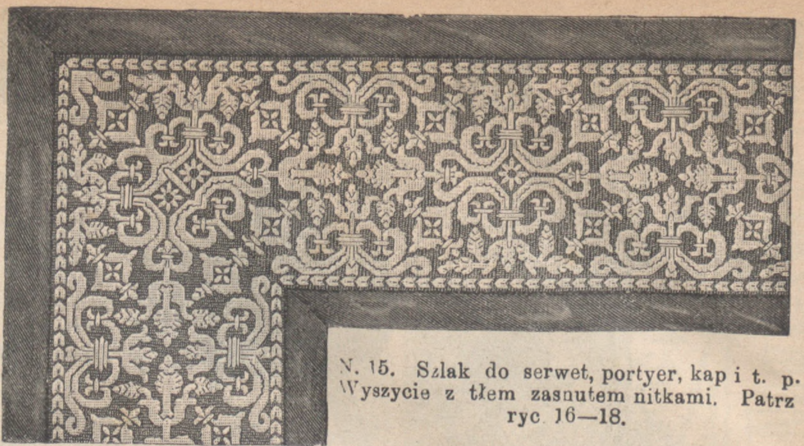
N. 8—9. Uczesanie i kołnierz wykładany.

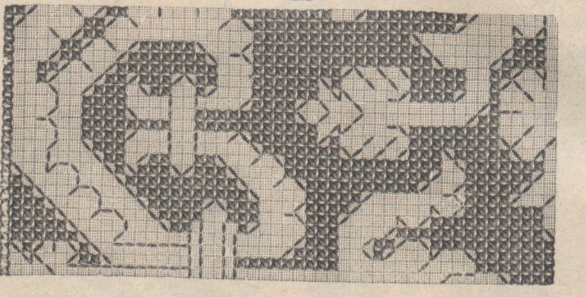
Do uczesania przedstawionego na ryc. 8 wystarczą dość grube a niezbyt długie włosy, rozdzielone środkiem, odczesane i podwinięte do czubka głowy. Tu ze skręconego promienia układają się dwa luźne pukle kokardy, koniec zaś skręcany mocniej upina w podwójny węzeł na środku. Kołnierz wykładany 12 cent. szeroki, z cieniutkiego płótna, otoczony koronką reticella, którą można zastąpić haftem ażurowym lub naśladowaniem koronki robotą szydełkową, którą opisaliśmy w ostatnich N-rach z roku 89.



N. 12. Wymiar torebki ryc. 13—14.

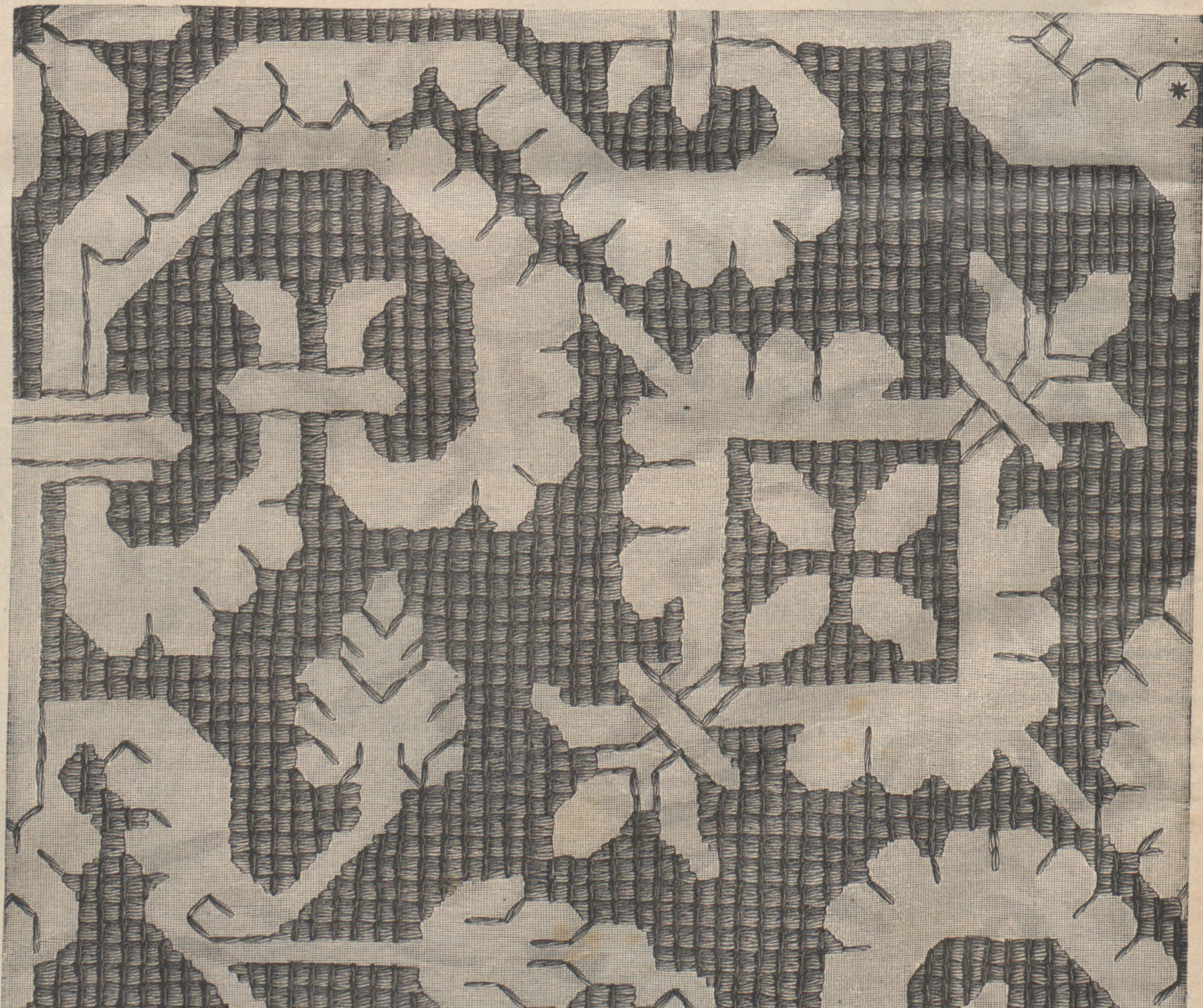

N. 13—14. Torebka podróżna. Patrz ryc. 12.


N. 15. Szlak do serwet, portyer, kap i t. p. Wyszycie z tłem zasnutem nitkami. Patrz ryc. 16—18.


N. 18. Dopełnienie części deseniu do ryc. 16.

N. 10—11 i 6. Kapelusz batystowy i bluzka z karczkiem.

Można z łatwością własnoręcznie uszyć taki kapelusz letni, z białego lub kolorowego batystu, przykroiwszy podług wymiaru podanego na r. 6. Litera *a* oznacza połowę szerokiego ronda podług której przymarszcza się podwójny, prosty kawałek batystu na cztery sznureczki. Wokoło brzegu dane plisowanie 7 c. szerokie i drugie o 2 cent. wyżej. Połowa główki oznaczona literą *b*, kraje się w całości z batystu przymarszcza trzy razy na sznureczek, odpowiednio do obwodu rondka i zeszywa z niem pasując gwiazdką do gwiazdki i dwukropkiem do dwukropka. Górny zaokrąglony brzeg jest ściśle zfałdowany do środka i na tem miejscu daje się rozetę z wstążki repsowej lub z batystu obrąbionego 5 c. szerokiego. Bluzka na modelu była z bośniackiego płótna; potrzeba najpierw dopasować pod nią gładką podszewkę skrojoną podług formy zwykłego stanika, następnie naszywa się karczek 10 c. szeroki cały w drobniutkie zakładki zaszyty. Brzegiem karczka dana pliska 4 cent. szeroka, naszyta białą pasmanteryą, spuszczona wzdłuż przodów, nakształt wązkiej kamizelki, dana u dołu i na stojącym kołnierzu. Przody bluzki zachodzą na pliskę przemarszczone u góry w nagłówek, a u dołu zbywająca szerokość zebrana bawetowo w ściśle fałdki. Brzeg baskiny otaczają dwie skośne falbanki po 6 c. szerokie. Bardzo szerokie rękawy zebrane na ramionach w wysoko zfałdowany nagłówek, u dołu są zmarszczone i przyszyte szwem odwracanym na 12 c. szerokim mankiecie zaszytym w zakładeczki i zdobnym pasmanteryą.


N. 16 Część wyszycia do ryc. 15. Wielkość naturalna. Patrz ryc. 17—18.


N. 17. Wyszycie tła do ryc. 15 i 16 (w małem powiększeniu).



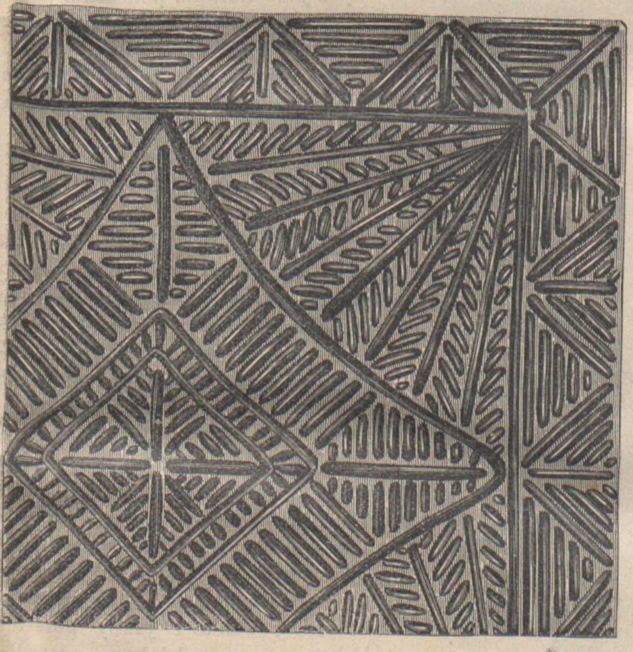


N. 22a. Kółeczko do ryciny 22.

N 22. Woreczek robotą szydełkową. Patrz ryc. 22a—23.

N. 12—14. Torebka podróżna.

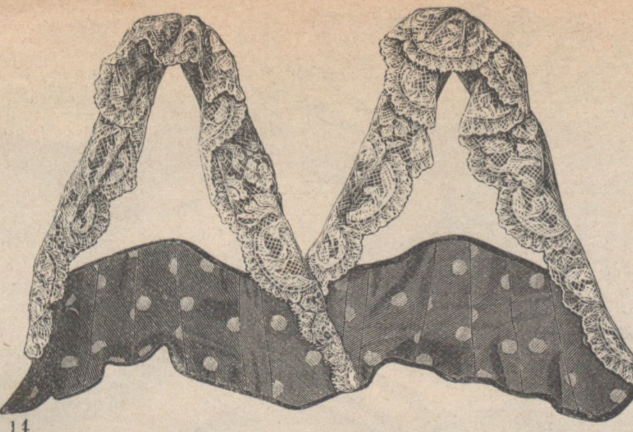
Ryc. 13 i 14 przedstawia bardzo praktyczną torebkę składaną, opatrzoną przedziałami i kieszonkami różnej wielkości, tak że nawet w dalszej podróży jest dogodną i wystarcza do pomieszczenia różnych niezbędnych przyborów. Wymiar całości zewnętrznej i podział wewnętrzny daliśmy na r. 12; najlepiej użyć na taką torebkę materyału nieprzemakalnego lub płótna żaglowego a brzegi objąć wokoło wypustką skórzaną, materyał powinien być mocny nie wymagający podszewki, gdyż takowa przeszkadzałaby do równego układania. W dużej przegrodzie *a* pomieścić można całą suknię; kieszonki *b* i *c* przeznaczone są na bieliznę i przybory do czesania, *d* obejmuje neseser z przyborami do szycia. Środkową część torebki zajmują dwie klapki zapięte paskami, pod któremi umieszczony szal i kołdra podróżna; wązkie podłużne przegródki utrzymują parasol i parasolik. Resztę kieszonek można zapełnić dowolnie różnemi drobiazgami np. umieszczając ręcznik, mydło, szczoteczki, flakony i t. p. kieszonki przeznaczone na przedmioty wypukłe trzeba krajać szerzej i przyszyć odstająco. Wszystkie brzegi klapek i przegródek objęte są listewką skórzaną 2 c. szeroką; do zapinania dodane rzemyki ze sprzączkami. W jeden brzeg poprzeczny wszyty jest pręcik żelazny lub drewniany 48 c. długi, przy którym dodane ucho do ujęcia torebki. Oszycie brzeżne i przytwierdzenie rzemyków można polecić rymarzowi; ku ozdobie służyć mogą szlaki safianowe wyciskane w deseń jak to widać na rycinie 14.



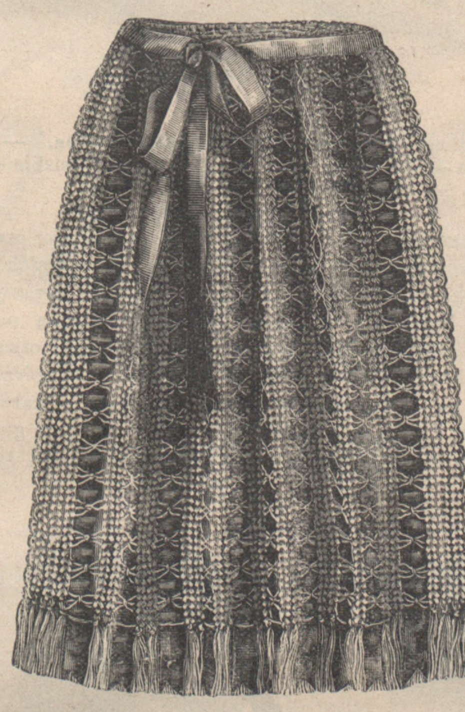
N. 26. Część deseniu do ryc. 25.

N. 15—18. Szlak do serwet, portyer, kap i t. p. Wyszycie z tłem zasnutem nitkami.

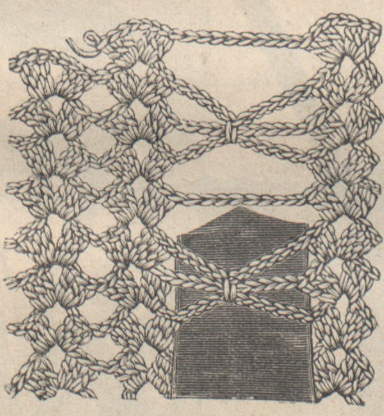
Szlak przeznaczony ku ozdobie podłużnej serwety na środek stołu, otoczony pluszem lub aksamitem, efektownie zdobić może portyery i serwety wszelkiego rodzaju. Deseń naśladowany jest ze starożytnego włoskiego wzoru wykonanie tem się różni od zwykłych haftów że tu właśnie tło jest całe zasnute wyszyciem, między któremi pusty deseń bardzo wybitnie się odznacza. Rycina 16 daje część deseniu w naturalnej wielkości, a na r. 17 przedstawiliśmy w małem powiększeniu sposób wyszycia. Deseń rysuje się starannie na tle, które następnie zasnute jest całkowicie nitkami filozeli, przeprowadzonemi w poprzecznym kierunku w długich luźnych ściegach. Nitki te przytrzymane są zwierzchniem wyszyciem z jedwabiu, ściegiem stębnowanym; igłę przeciąga się do wierzchu środkiem poprzedniego ściegu. Przy zasnuwaniu filozelą, brzegiem konturów deseniu pod spód przejmują się tylko drobne ścieżki, jak to wskazuje strzałka na r. 17. Można wyszywać podług deseniu krzyżykowego (patrz r. 18) i w takim razie krzyżyk równa się przestrzeni objętej jednym ściegiem stębnowanym. Na modelu filozela była niebieska a jedwab przytrzymujący ją żółty; na dodatku z krojami do N. 31 i 32 Tyg. Mód damy dokończenie deseniu (pod fig. 36) które złoży się z ryc. 16 podług gwiazdki i dwukropka.



N. 19. Pasek gorsecikowy do ryc. 2.



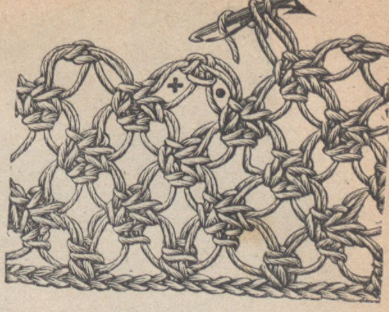
N. 20. Fartuszek szydełkowy. Patrz ryc. 21.



N. 21. Robota szydełkowa i przewleczenie wstążki do ryc. 20.



N. 24. Suknia przybrana falbanką haftowaną. Patrz ryc. 40.



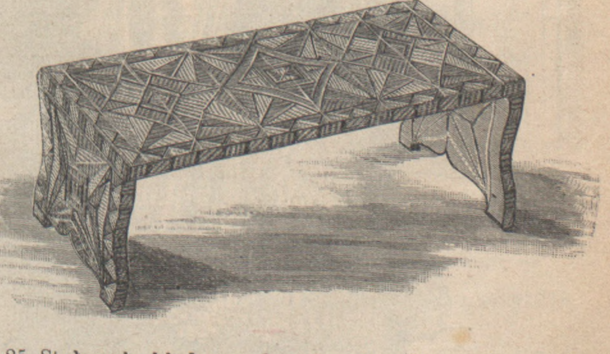
N. 23. Robota szydełkowa do r. 22.

N. 20 — 21 Fartuszek robotą szydełkową.

Materyał stanowi żółtawa bawełna z kotwicą N. 25, robotę zaczyna się od górnego brzegu łańcuszkiem z o. pow., przy którym tam i napowrót robi się jak następuje. 1 rząd: 3 o. pow. zamiast pierwszego sł., 1 sł. w o. łań., 2 o. pow., 4 sł. w cztery następne o. ✻ 2 o. pow., 4 sł. w cztery o. łańcuszka, 2 o. pow., 2 sł. w dwa o., 5 o. pow. opuściwszy tylko 1 o. łańcuszka robić 2 sł. w dwa o. i powtórzyć od gwiazdki dziewięć razy, dalej dwa razy po dwa o. pow. i 4 sł., nakoniec 2 o. pow. i 2 sł. — Odwrócić robotę i jako 2 rząd robić 3 o. pow., 6 sł. przedzielanych w środku 2 o. pow., zajętych za całe dwa o. pow. poprzedniego rzędu, ✻ dwa razy po 4 sł. w środku przedzielone 2 o. pow., zajęte za 2 o. pow.; 5 o. pow. i powtarzać od gwiazdki; na końcu zamiast 5 o. pow. zrobić 6 sł. rozdzielonych w środku 2 o. pow. — odwrócić robotę. 3 rząd tak jak drugi tylko zamiast każdych 5 o. pow. robić 3 o. pow. i 1 o. śc. które związuje dwa poprzednie łańcuszki, 3 o. pow. — odwrócić robotę. 4 rząd do 7 rzędu podobnie jak drugi tylko w dwóch pierwszych zamiast każdych 5 o. pow. robić 8 o. pow. a w siódmym rzędzie przed, i po każdem o. śc. robić 4 o. pow. W 8 rzędzie każdą grupę słupków przedziela 8 o. pow., w 9 i 10 rzędzie dziesięć oczek a w 11 rzędzie przed, i po każdem o. śc. robić 5 o. pow. To rozliczenie podług 11 rzędu pozostaje już na szesnaście następnych rzędów stanowiących długość fartuszka (58 c. bez frendzli). Górny brzeg obrabia się na pasek 1 rzędem o. śc. i trzema rzędami sł. po 93 w rzędzie; dolny brzeg zakończa frendzla 7 c. długa. Przewleczenie kolorową wstążką dopełnia całości i bardzo przystraja fartuszek; próbkę tła z przewleczeniem wskazuje ryc. 21.

N. 22—23. Woreczek robotą szydełkową.

Robota szydełkowa wykonana z bawełny kordonkowej niewarowego koloru, podwleczona kolorową materyą stanowi woreczek 23 c. długi 38 c. szeroki, przy którym nagłówek górny 5 c. szeroki dany z pluszu jedwabnego, złożonego we dwoje; u dołu pompony, w górze do ściągania przewleczona w dwie strony wstążka jedwabna. Ryc. 23 daje w naturalnej wielkości próbkę roboty szydełkowej, zaczynającej się od prostego łańcuszka (80 o. pow.) przy którym przyrabia się obie połowy woreczka. ✻ 1 o. śc. w przedostatnie o. łań., dalej zaś co szóste, dwa razy po dwa długo wyciągnięte o. pow. i 1 o. śc. za spodnie nitki o. — powtarzać od gwiazdki. W drugiej połowie woreczka oczka śc. powinny wypadać naprzeciw o. pierwszej połowy. W drugim jako też we wszystkich następnych



N. 25. Stołeczek składany z deseniem wypalanym. Patrz r. 26.

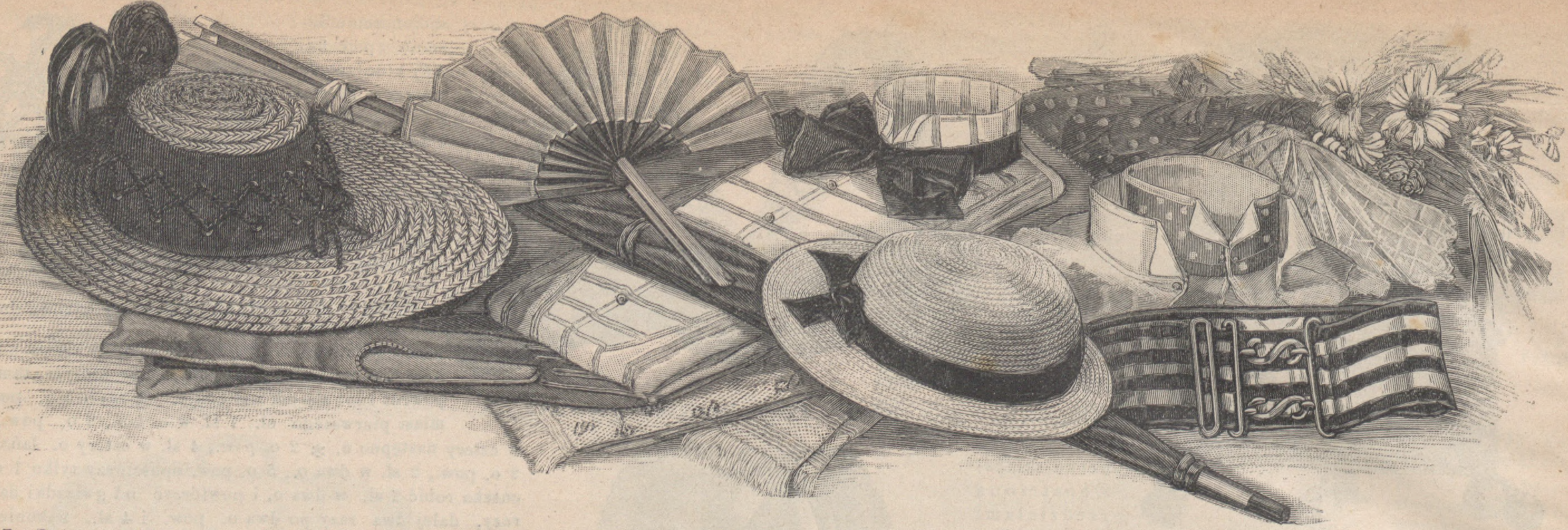
rzędach po drugiem długo wyciągniętem o. zająć o. śc. (w miejscu oznaczonem punktem) na r. 23 za obie zwierzchnie nitki oczka poprzedniego rzędu, a drugie o. śc. za następne oczko (w miejscu oznaczonem krzyżykiem) Całość wykonywa się bez przybierania i gubienia aż do góry a przy brzegu dodają się kółka do przewleczenia wstążek, przyszyte w równych odstępach; na każde kółko trzeba nitkę okręcić sześć razy około palca i obrobić o. śc. podług ryc. 22a. Do wiązania potrzeba 225 c. wstążki 1 c. szerokiej.

N. 25—26. Stołeczek składany z deseniem wypalanym.

Wierzch stołeczka pod nogi liczy 28 c. długości a 12 c. szerokości, nóżki są 11 c. wysokie i dają składać się pod spód na ruchomych zawiaskach. Rycina 26 daje więcej niż czwartą część kwadratu, powtórzonego trzy razy przez wierzch i zajmującego pojedyńczo nóżki.

N. 27—37. Przybory do podróżnego ubrania.

Rycina 27 przedstawia parasol jedwabny, który zarazem służyć może jako kij do podpierania się przy wycieczce w góry



N. 27. Parosol podróżny. — N. 28. Kapelusz do wycieczek w góry. — N. 29. Rękawiczki podróżne. — N 30. Wachlarz kieszonkowy. — N. 31. Koszula bluzkowa. N. 32. Kapelusz podróżny.—N. 33. Chusteczka do nosa.—N. 34—35. Kołnierzyki stojące damskie.—N. 36. Pasek szeroki —N. 37. Krawatka Lavaliére.

kapelusz do dalszych wycieczek jest z grubej jasnej słomki, trochę zbliżony do formy tyrolskiej ma 11 cent. wysoką główkę zwężoną w górze i rondo proste z tyłu 7 ½, z przodu 14 c. szerokie. Główkę opasuje 10 cent. szeroki skos sukna, na którem naśladowane sznurowanie sznurem przez okute dziurecki; z tyłu kilka piór kapłonich. — Rękawiczki (r. 29) z koźlej skórki wcale nie zapinane, ale krojem przystającym do ręki. Wachlarz kieszonkowy ryc. 30 złożony liczy tylko 18 c. długości i dla tego dogodny jest do noszenia przy sobie; otwarcie wachlarza następuje przy wysunięciu zwierzchnich prostych skrzydełek, które stanowią zarazem oprawę i rączkę. Ryc. 31 przedstawia bardzo praktyczną na dnie upałów koszule bluzkową, zastępującą przy otwartych kaftanikach kamizelkę lub stanik spodni. W górze szyje się na podobieństwo koszuli męzkiej, z karczkiem prostym z tyłu, z gładkim gorsem zapiętym na guziczki i z kołnierzem stojącym z odwiniętemi różkami; rękawy krojem takim jak u koszuli, trochę przymarszczone u dołu i wszyte w mankiet 7 c. szeroki. Plecy podszyte listewką do zmarszczenia w pasie. Krawatka z ponsowej materyi surah 15 c. szeroka. Praktyczne w użyciu są krawatki *Lavalière* z wyrobu podobnego do materyi serge lecz z nitek jedwabnych i nicianych, dające się prać; robią je białe lub w kolorowe pasy czy rzucik, 15 c. szerokie, około 111 c. długie. — Do jazdy koleją odpowiedni jest mały kapelusz z cienkiej białej słomki, z okrągławą główką o 2 c. wyższą z tyłu niż z przodu, z rondkiem prostem z przodu 5, z tyłu 2 cent. szerokiem, opasanie z czarnej aksamitki.

Ryc. 33 przedstawia małą chusteczkę do nosa, liczącą 30 cent. w kwadrat, z batystu kolorowego w białe grochy; chusteczki podobne noszą w kieszonkach kaftanika, lub wsunięte na zapięciu stanika, w każdym razie nie zastępują one chustki płóciennej. — Przy bluzkach bardzo rozpowszechnionych jako ubranie podróżne, paski stały się niezbędne podajemy więc model z grubej jedwabnej wstążki 9 cen. szerokiej, w paski kolorowe i białe, zapięty oryginalną klamrą metalową.



N. 38. Suknia z falbankami. N. 39. Suknia z krótkim kaftanikiem i szmizetką. N. 40. Ubranie letnie spacerowe. Patrz ryc. 24i 7.

N. 38. Suknia z falbankami.

Może być odrobiona z muślinu wełnianego lub letniego materyału jakie wyrabiają w niezliczonych odmianach barw i deseni. Spódnica uszyta bez drugiej podszewkowej, 225 c. szeroka, otoczona u dołu trzema wolantami po 10 c. szerokiemi, przy górnym zamiast nagłówka dane dwa rzędy wszyweczki nicianej 1 c. szerokiej, przedzielonej marszczeniem. Stanik ma podszewkę dopasowaną gładko do figury a wierzch marszczony; jak to widzimy na r. 38 przemarszczenie stanowi jakby gorsecik pięć razy przedzielony wszywką. Zamiast baskiny spada koronka marszczona 30 c. szeroka, 250 c. długo; rękawy poniżej łokcia są przymarszczone wązko i również pięć razy wszywką przedzielone. Kołnierzyk stanowi bufka przemarszczona w nagłówek zakończony koroneczką.

N. 39. Suknia z krótkim kaftanikiem i szmizetką.

Szeroko otwarte przody zostawiają miejsce na kamizelkę lub szmizetkę z odmiennego materyału i koloru niż suknia, z którą zgadzać się musi kołnierz, mankiety i wypustki przy sukni. U dołu spódnicy 390 cent. szerokiej, z brytów prostych, dana plisa 16 c. szeroka odznaczona wypustką.

(Dokończenie nastąpi).